

Tomasz Marcin DUDZIŃSKI



Czarami i ...

Tomasz Marcin Dudziński
Czarami i ...

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński
All rights reserved

Redaktor:
Piotr Chruśliński

Korekta:
Małgorzata Bartosik

Copyright © by Serwis Literacki
www.knowacz.pl

Wydanie I
ISBN 978-83-925506-9-3

Świdnik
2007

Projekt okładki:
Tomasz Marcin Dudziński

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński
All rights reserved



ISBN 978-83-925506-9-3



Drogi Czytelniku,

*Zapraszam Cię na wycieczkę po świecie
fantastyki, który nie jest wcale taki, jaki być
powinien.*

*Rządzi w nim absurd, bezsens i nie ma
w nim za grosz patosu.*

Autor

Tomasz Marcin DUDZIŃSKI

Czarami i ...

*Witam Cię serdecznie na przedziwnej i niecodziennej
wycieczce po fantastyce, wraz z jej wszystkimi ułomnościami.*

Czym jest fantastyka?

*Słowo pochodzi z klasycznej greki od **fantastikon**.
Oznacza ono zjawiska niezwykle, często nadprzyrodzone,
lub wytwór fantazji.*

*A jak jest naprawdę? Kto tworzy fantastykę?
I czy jest ona tak naprawdę niezbędna w naszym życiu?
A może wystarczy dostrzec to, co oczywiste?*

*Zapraszam Cię do Parku, gdzie być może wspólnie
odnajdziemy odpowiedź...*

CZARAMI I HUMOREM

Dniówka w Parku

„Drill dostanie zawału!” – pomyślał Mond podbijając karty.

* * *

Mrok ogarniał stuletnie dęby zarastające królewski trakt. Robur, rycerz księcia Maiwalda, właśnie podążał ku swemu przeznaczeniu. Przystanął, aby dobrze obejrzeć miejsce swojej próby. Próby odwagi, próby męstwa i wierności księstwu. Wiedział, że tylko w ten sposób udowodni, że godzien jest na tarczy dźwigać herb Maiwaldu. On, Robur, najmłodszy z rodu Flug-zige. Jego bracia pęknię z zazdrości, ojciec zaś, po raz pierwszy za jego przyczyną, powód miał będzie do wielkiej dumy.

Pogładził po klindze swój wierny, wysadzany czarnymi kamieniami miecz, zlustrował okolicę i ruszył pod górę. Trakt wpadał między dwa potężne drzewa, niczym w bramę innego świata. Świata mroku i tajemnic skrywających się za każdym zakrętem drogi. Jego drogi. Drogi do chwały. Drogi bez odwrotu. Przepełniony niepewnością wkroczył w opiekuńczy cień majestatycznych drzew i choć dawały one przyjemny ciału chłód, jego lniana koszula obciążona kolczugą lepila się niemiłosiernie do pleców. Ze strachu. Robur minął kolejny, gruby pień. Jego oczy powoli przywykły do mroku panującego w zaklętym lesie. Wiedział, że teraz musi być ostrożny w dwójnasób, bo zgodnie z przepowiednią, miał w tym lesie spotkać bestię, której pokonanie miało mu zapewnić wieczną chwałę. Ale mogło to też oznaczać rychły grób, a do tego nie mógł dopuścić. Nie teraz, po trzech miesiącach budowania własnej legendy! Poruszał się powoli, systematycznie, starając się przeszyć wzrokiem zarośla. Do jego uszu dobiegł odgłos wartkiego strumienia i tam właśnie postanowił skierować swoje kroki. Wiedział, że strumień da mu przewagę. Zagłuszy jego kroki i chrzęst zbroi. Na dodatek da pewność, że bestia się tam pojawi – nawet najbardziej krwiożercze stwory tego świata muszą kiedyś pić.

Dotarł do strumienia i postanowił wybrać miejsce zasadzki. W oddali majaczył niewielki, wysoki rąptem na trzy stopy, wodospad. Idealne miejsce! Rycerz dotarł właśnie do ostatniego krzewu oddzielającego go od niewielkiej polanki przy wodospadzie, gdy na kamieniu ujrzał siedzącą tyłem do niego bestię. Potwór właśnie oblizywał zakrwawione szpony, jednakże ciała nieszczęsnej ofiary już nie było. Najwidoczniej zostało pożarte! Nie było w tym nic dziwnego, wszak bestia miała aż trzy głowy.

- Na chwałę Maiwaldu! – ryknął Robur wypadając z zarośli z mieczem uniesionym do cięcia.

Bestia odwróciła głowę w kierunku śmiałka ukazując gadzie oblicze, lecz zanim zdołała się poderwać do ataku, powietrze przeciął świst stali i lewa smocza głowa potoczyła się po rzecznych kamieniach.

Potwór zawył przeraźliwie i zerwał się do ucieczki. W dwie sekundy później już go nie było. O jego bytności nad strumieniem świadczyła tylko wielka plama krwi oraz odcięta, gadzia głowa.

Rycerz uniósł z odrazą odcięty łeb i wydał okrzyk triumfu.

- Wiem, że w miejsce odciętej odrosną ci kolejne trzy! – krzyczał. – Ale wiedz, poczwaro, że Robur z domu Flug-zige zawsze jest gotów, by ci je odciąć!

* * *

Palatyn Frian przedzierał się przez gąszcz wzdłuż gościńca. Postanowił zdobyć nieśmiertelną chwałę jako zamaskowany człek w zielonej bluzie, który ratuje z opresji podróżnych, łupi pazernych bogaczy i wspiera biedaków.

Wieśniacy, co prawda, nie byli aż tak skorzy do chwalenia jego hojności i wspaniałomyślności, jak do przyjmowania darów, przeto wieczorami przeobrażał się w barda śpiewającego w wiejskich gospodach ballady o wspaniałych czynach tajemniczego wybawcy w zielonym kapturze.

Frian, co jakiś czas przystawał aby zlustrować okolicę i wysledzić ewentualną zasadzkę leśnych rabusiów. Wtedy wystarczyło poczekać w ukryciu na nadjeżdżających kupców, a kiedy ci byli atakowani przez zbójców, dzielny palatyn ratował ich z opresji. Proste!

Jednakże tym razem zamaskowany człowiek w zielonym kapturze postanowił skorzystać z planu awaryjnego. Oto gościńcem podążał młokos z białogłową. Para powoli przybliżała się do miejsca, gdzie zamaskowany bohater znalazł kryjówkę przed wścibskim wzrokiem osób trzecich. Chłopak wyraźnie zalecał się do młodej damy, która z zaczerwienionym licem słuchała poezji młodzieńca. Zakochani minęli kryjówkę palatyna, który postanowił podążyć za nimi wyczekując stosownej okazji. Nie musiał długo czekać.

Zupełnie nagle wypadł z zarośli zakrwawiony potwór. Choć bestia miała miast trzeciej głowy krwawy kikut, szpony umazane w szkarłacie krwi i widać było, że stoczyła dopiero zaciętą walkę, ruszyła na oślep gościńcem, wprost na zakochaną parę.

- Argh! – Ryknął potwór.

Chłopak zemdlał z wrażenia prosto w ramiona swej wybranki, która zamiast uciekać przed szarżującym potworem, pochwyciła młodzieńca.

Frian tylko wyczekiwał takiej okazji! Wyskoczył z zarośli i z głośnym, bojowym okrzykiem „Hu-hu!” stanął do walki. Błyskawicznie napiął swój niewielki, galeicki łuk i jeszcze szybciej posłał w kierunku smoka tuzin strzał. Jak zliczył, przynajmniej siedem dosięgło celu.

Bestia rzuciła się ze skowyt w zarośla, by więcej się nie pokazać.

- Piękna pani! – Huknął palatyn do zaskoczonej dziewczyny. – Wiedz, że wyratował cię zamaskowany bohater w zielonym kapturze!
Po czym skłonił się dworsko i zniknął w zaroślach.
Dziewczyna zaczęła okładać po pysku nadal nieprzytomnego chłopaka.

* * *

Drua z Gildii Złodziei przycupnęła za wiekowym głazem. Na mchu porastającym kamień były świeże ślady krwi i choć wokół pachniało papryką, dziewczyna z góry założyła, że ktoś ranny musiał szukać schronienia w tym samym miejscu nie dalej, jak pacierz temu.

Nic to! To nie jej walka i nie jej zmartwienie. Mistrz dał zadanie: zdobyć najbardziej niezwykły artefakt ze Świątyni i tylko to się liczyło.

Szybko i zwinnie niczym kot, złodziejka przemykała od pnia do pnia, od głazu do głazu, od krzaka do krzaka. Nikt nie mógł jej przecież złapać na kradzieży! Za kolejnym głazem natrafiła na niespotykaną dotąd przeszkodę: głęboki rów. Ale czy to, aby na pewno miało zniechęcić najlepszą adeptkę Gildii Złodziejskiej?

Dziewczyna zarzuciła na gałąź rosnącego tuż nad rowem drzewa niewielką kotwiczkę z doczepioną linką, sprawdziła, czy aby linka dobrze trzyma i chwilę potem z gracją przefrunęła nad głębokim rowem. Wylądowała zręcznie, niczym kocica, poprawiła fryzurę i pomknęła w kierunku mającej między drzewami masywnej budowli. Chwilę potem wspięła się po kolumnie wzwyż, chwyciła za stalowe stężenie kapiteli i zręcznym wymykiem stanęła na gzymsie fryzu czołowego, tuż nad kolumnadą. Dwadzieścia metrów biegu, długi sus ponad najeżoną bramą i tylko dwa kroki do okna świątyni, w którym dziewczyna zniknęła chwilę potem.

Wewnątrz panowała ciemność. W obszernej komnacie roznosiło się głośnie sapanie, znak nieomylny, że bestia czuwała na posterunku pilnując ołtarza z największym skarbem świątyni.

Niemalże po omacku Drua dotarła do schodów ołtarza. W bladym blasku odbitego światła z potężnego lustra tuż nad ołtarzem, dostrzegła Smoczy Talizman. Jest! Nareszcie! Z bijącym sercem sięgnęła po kryształowe naczynie skrywające skarb, gdy nagle potrącona łokciem niewielka flaszcza z pluskiem wpadła do chrzcielnicy po prawej stronie ołtarza.

Z mroku wydobył się głośny pomruk.

Dziewczyna złapała talizman i rzuciła się do panicznej ucieczki.

- Tylko nie to!!! – Ryknęła ciemność, ale Drua już nabrała rozpędu i wyskoczyła oknem na dziedziniec przed świątynią.

Chwilę później zniknęła w leśnym gąszczu.

Tuż przed bramą z napisem PARK FANTASY siedział portier w kostiumie knechta. Szychta zbliżała się ku końcowi, ostatni gracze opuścili park z kompletem punktów w swoich kartach postaci. Mond zastanawiał się, co powiedzieć Drillowi, który jak zwykle przychodził po przyjaciela po zakończonej dniówce. Pomyślnej dniówce. Ale dziś?

- Szajs i w ogóle gówno! – Ryknął dwugłowy smok wyłaniając się zza kępy jałowca.

- Taaak – przyznał knecht. – Widziałem trofea.

Potężne zęby zazgrzytały ze złości w smoczej paszczy.

- Nawet nie próbuj interpretować wydarzeń!

Mond ściągnął hełm i podrapał się po potylicy.

- Czy ty wiesz, jaki zgrzyt tu miałem z wypisaniem punktów za obciętą głowę? Tego nie ma w żadnym wykazie! A o reakcję kierownika zmiany to nawet nie pytaj!

Stwór przysiadł na ogonie i chwilę pomajstrował za kolczastym grzebieniem. Po chwili odpiął gumowy kikut szyi, smutną pozostałość po sztucznej, smoczej głowie.

- Ech, szczęście, że trafił w atrapę! – Westchnął. – Wyobraź sobie, przerwa na lunch. Biorę kanapkę z baranburgerem, doprawiam i mi ten cholerny korek od ketchupu wypada. Stary, uświniłem się jak niemowlę! No to idę się obmyć do strumienia, a tu nagle z krzaków wypada jakiś palant z tym swoim pogrzebaczem i ciach!... No to dałem drapak.

- A swoją drogą, to faktycznie miałeś szczęście!

Drill podrapał się pod lewym skrzydłem.

- Ciekaw jestem, kto tu wpuścił tego przygłupa z prawdziwym mieczem?

Knecht wzruszył ramionami.

- Na mnie nie patrz. Objąłem bramę o dwunastej. Musiał przyjść wcześniej.

- Trzeba będzie powiadomić dyra, niech usunie z folderu reklamowego te bzdury o odrastających głowach, bo kiedyś naprawdę stracę łepetynę.

Mond wyciągnął z kieszeni czekoladowego batona i podsunął koledze pod nos.

- Mmm?

- Dzięki, ale mam potworną zgagę – gestem ręki podziękował smok. – Z tych nerwów kwasy mi aż ruszyły. Jak wiałem przed tym napaleńcem, to najpierw wpadłem na zakochaną parkę, a potem jakiś popaprany Rabin Hood zapakował mi tuzin szpilek w tyłek...

- Robin – poprawił knecht i władował sobie połowę batona w usta.

- Niech ci będzie! – Zgodził się smok odpinając drugą z trzech głów. – Cholera, muszę jutro powiedzieć magazynierowi, żeby nie dawał mi tych skrzydełek.

Strasznie piją pod pachami.

- Słyszałem, że miałeś zgrzyt w punkcie opatrunkowym...

Drill nieco się zaczerwienił.

- Kiedy felczer usuwał mi ostatnią strzałę z dupy, do punktu wpadła jakaś dziunia w długiej sukni taszcząc na rękach nieprzytomnego amanta. A jak mnie zobaczyła, rzuciła nieszczęśnika na glebę, wyrwała nogę z krzesła i zaczęła mnie okładać. Dobrze, że po sztucznej łepetynie! No i znowu musiałem zwiewać, ale tym razem to nawet nie wiem, za co oberwałem...

Mond roześmiał się na wspomnienie wcześniejszej opowieści medyka.

- Bo tak wystraszyłeś jej absztyfikanta, że chłopak zemdła! – Dodał rechocząc coraz to głośniejsze. – A do tego puściły mu zwieracze!

- No tak! – Pokiwał głową smok. – A niesmak pozostał nam wszystkim. Poszła skarga do dyra?

- Na całe szczęście, nie! – Mruknął knecht odpinając misiurkę. – Stawiasz mi drinka, udobruchałem ich ekstra punktami w kartach postaci.

Smok ułożył skrzydła na trawie i zgrabnie je zrolował.

- Nie wiesz jeszcze najgorszego!

- Chyba jednak wiem...

- Nie!...

- Tak!... Ale chętnie usłyszę twoją wersję.

Drill westchnął i usiadł obok swojego pakunku.

- Obolały polazłem do mojej leśnej rezydencji. Padłem na wyro i przyciąłem komara... a tu jakaś durna siksa zakradła mi się do łazienki. Te ludzie, to złośliwy gatunek! Najpierw mi wrzuciła wodę kolońską do muszli klozetowej, a potem ukradła mi szklankę ze sztuczną szczęką!

Mond pokładał się ze śmiechu.

- Dwieście punktów za Smoczy Talizman! – Huknął. - Nie mogłeś jej złapać? Smok zrobił zdziwioną minę.

- W tym kostiumie? – Zapytał z niedowierzaniem. – Zresztą gówniara czmychnęła oknem, nim zdążyłem ruszyć się z wyrka!...

- Jest już ósma? – Knecht zmienił temat.

- Dwie po – odparł Drill.

Obaj wstali, brama do PARKU FANTASY zamknęła się z jękiem, zgrzytnął klucz.

- Czas zdjąć te idiotyczne kostiumy – mruknął knecht i mocno pociągnął swoją twarz za nos, który zrobił się długi, coraz dłuższy, aż wreszcie gumowa maska strzeliła głucho. Mond spojrzał na przyjaciela swoimi czerwonymi źrenicami. Kły w jego paszczy powoli układały się w szczery uśmiech.

- No to do gospody! – Zawyrokował Drill. – Stawiam drinka, może chrupniemy po baranie na ostro...?

- Czemu nie? – Przyznał drugi smok. – Nie tylko ty miałeś parszywą dniówkę. Myślisz, że całodniowe udawanie człowieka nie jest wyczerpujące?

Oba smoczyska ruszyły leśnym duktem w dół zbocza.

- Musisz przyznać: te dwunożne ssaki to jednak dziwne stworzenia.

- Aha! Cały dzień w biurze, a w wolnej chwili chcą sobie poudawać kogoś innego. I jeszcze za to płacą!

Drill roześmiał się serdecznie.

- A my niby, co? Też udajemy kogoś innego!

- Ale to nam za to płacą!

Przyjazne łapsko klepnęło Monda w plecy pokryte opalizującą łuską.

- Stary, ile to uczciwy smok musi się naharować, aby zarobić na pieczonego barana! To już nie jest ten sam świat, co kiedyś! To już jest świat ludzi...

- I wiesz, co? – Gad zarechotał, jak na smoka przystało. – Konar im w okrężnicę!

*No widzisz?
Nie było chyba aż tak strasznie, jak strasznie zabrzmiało
pobożne
życzenie imć smoka w ostatniej kwestii powyższego
opowiadania...*

*Wiemy już, co to jest fantastyka.
Spróbujemy teraz razem ustalić, gdzie tkwią korzenie wszelkich
opowieści fantastycznych.*

*Ja twierdzę, że w podaniach ludowych i w bajkach.
Możesz mieć odrębne zdanie, ale aby je obronić,
potrzebny Ci dowód.*

Oto mój.

CZARAMI I PIERNIKIEM

Moja prywatna Baba Jaga

Moja mama zawsze zaczynała od słów: „Chcecie bajki? Oto bajka...”, ale kiedy spojrzę na bandaże oplatające ciasno moje nadgarstki, wcale nie jest mi do śmiechu. A przecież bajka to coś wesołego, opowieść, która sprawia radość, jest prosta i nawet dziecko by ją zrozumiało ku uciesze Krasnoludków, Kota w Butach i Czerwonego Kapturka. A co ma do tego Czerwony Kapturek? Ma! I to dużo!

Moja ukochana postanowiła się zabawić w Czerwonego Kapturka i odwiedzić babcię z koszyczkiem pełnym wiktuałów. Spakowała „koszyczek” (czytaj: dwie, pękate torby) i zupełnie jak dziewczynka z opowieści pana de Perault, wybrała się w długą drogę. Ponieważ droga była przez las i ciągnęła się kilometrami, dziewczynka w czerwonym czepeczku pogalopowała rażno na stację kolei państwowych. A tyle razy pytałem: „Kiedy ty zrobisz to swoje prawo jazdy?” Mniejsza jednak o świstek – dziewczynka ruszyła w daleką drogę, nie mógł jej strzec jej ukochany, dzielny gajowy, bo nie dostał urlopu, a zamiast złego wilka, spotkała równie niesympatycznego konduktora. Z tą różnicą, że ten akurat chciał zjeść tylko jej bilet. Cóż było robić? Poszedłem z radością poklepać parowóz i sprawdzić, czy aby nie wysiadła z drugiej strony wagonu, a kiedy pociąg ruszył, aby po chwili zniknąć na linii horyzontu, wiedziałem, że teraz przez trzy dni mogę się oddać mojej ulubionej rozrywce. Błogiemu lenistwu.

Czas na przyjemnościach szybko upływa, myślę, że nawet szybciej, niż kasa na wakacjach, ale już drugiego dnia zaczęło mi się robić tęskno i smutno, a jedyną sensowną osobą, z którą mogłem zamienić słówko, był agent J-23, Hans Kloss, który popołudniową porą straszył z ekranu miliony telewidzów. W sobotę, dnia trzeciego, również popołudniową porą, miało powrócić moje szczęście, więc zaraz po pobudce skoro świt, czyli gdzieś około dziesiątej rano, powlokłem się do osiedlowego sklepu po wszelkie niezbędne produkty. Dlaczego? Bo miałem PLAN! Plan był bardzo precyzyjny, rzekłbym optymalny i bardzo szczegółowo dopracowany w najmniejszych detalach. Polegał on na zaskoczeniu, oczywiście takim miłym, mojej ukochanej. Jak? Postanowiłem uczcić jej powrót z wojaży i upiec piernik, za którym przepadała. W każdym bądź razie plan zakładał, że będzie to piernik, a zaskoczenie polegać miało tylko na tym, że nigdy wcześniej nic w domu nie upiekłem. Czasami się tylko piekliłem, ale to chyba nie to samo.

Przystąpiłem do realizacji planu: spisałem wszelkie możliwie niezbędne i nieosiągalne w domowej spiżarni produkty, poczłapałem do marketu, wyładowałem nimi koszyk i rażno pogalopowałem na stoisko ze spirytualiami. W przepisie stało: „dodać aromat rumowy”, a ja stwierdziłem, że nie będę

domowego wypieku faszerował jakąś chemią, bo od tego rosną w naszym społeczeństwie mutanty. Tak, tak: mutanty. Zakrawa to na science-fiction? Kurczaki faszerowane hormonami wzrostu, wszechobecny benzoesan sodu, wędlina faszerowana żelatyną i syntetycznym olejem (kilo mięsa równe dwa i pół kilo szynki), syntetyki genitalicznie modyfikowane... A tak! Genitalicznie! Rosną z tego mutanty niemogące mieć dzieci, chudzielce o wzroście dwa metry, wadze 48 kilo i stopie jak u złodzieja podolskiego. Prowadzi to, niestety, do przykrych konsekwencji – mając pięćdziesiąt lat będę musiał zapomnieć o emeryturze, bo moje składki pójdą na renty dla rzeszy trzydziestoletnich rencistów..., Ale co tam emerytura! Póki, co, postanowiłem, że sam zadbam o zdrową żywność i zamiast tandetnego aromatu rumowego zakupiłem prawdziwy, przedniej marki RUM. Nawet nie wiem, kiedy minął mi ten cały czas poświęcony na powrót do domu i przygotowanie masy. Kiedy jednak odkręciłem korek z butelki z rumem...! Ach, ten aromat! Dwa kieliszki wystarczyły, aby ciasto, oprócz korzennego, wydzielало aromat znacznie przyjemniejszy. Nie ukrywam zresztą, że i sam poczęstowałem się tym wspaniałym trunkiem.

Radyjko fajnie grało, to i czas minął szybko. Dochodziło południe, kiedy wpadłem na kolejny genialny pomysł, który postanowiłem wykonać w trybie natychmiastowym. Kilka sprawnych cięć nożem w gorącym cieście, odrobina kremu w strzykawce bez dzióbka, jeszcze tylko poprawka okiennicy i oto stał przede mną na paterze fantastyczny domek z piernika przyozdobiony białymi zakrętasami. Umazany kremem siadłem okrakiem na kuchennym krześle, wsparłem brodę na oparciu i podziwiałem moje arcydzieło. Pewnie podziwiałbym je jeszcze godzinę, gdyby mojej uwagi nie przykuły dwa, prawie nic nieznaczące szczegóły. Otóż w okienku mojej małej, piernikowej chatki pojawiło się światło, zaś z komina zaczęła się sączyć cieniutka stróżka dymu. Nie muszę dodawać, że moje zaskoczenie trwało tylko chwilę, natomiast niezdrowa ciekawość wzięła górę nad potężnym zdumieniem, które dopadło mnie w pierwszej chwili. Postanowiłem zajrzeć w okienko domku i zobaczyć, kto jest tym moim tajemniczym, dzikim lokatorem. Nachyliłem się nad domkiem, ale jak się zapewne domyślacie, przez okienko nie było widać absolutnie nic, więc z twarzą przy paterze uchwyciłem delikatnie malutkie drzwi, gdy nagle te otworzyły się z trzaskiem, przed domek wypadła malusieńka staruszka w chuście na głowie, uzbrojona w dość solidną miotłę. Niczym mistrzyni kendo z filmu „Kill-Thebill” babina zaczęła fechtować, okładając mnie po nosie miotłą. Miotła, co prawda, była malusieńka jak jej właścicielka, ale bolało, jak od ciosów normalnej wielkości narzędziem.

- Auuuu! – Wrzasnąłem i odskoczyłem od stołu, na którym stała patera z niesamowitym wypiekiem.

- Ciekil Git! (tur.: spieprzaj! – Przyp. red.) – wrzasnęła babina, pogroziła mi pięścią, po czym wykonała zgrabny piruet na pięcie i zniknęła w swoim piernikowym domku. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Zrozumiałem tylko, że coś jest „git”, ale jak mogło być git, skoro dostałem miotłą przez pysk? Trochę to było dla mnie niepojęte, więc aby się upewnić, co do swojej pomyłki w rozumowaniu, pozostałem na bezpiecznym stanowisku obserwatora. Po kilku minutach na niewielkim maszcie doczepionym do komina pojawiła się nieduża, czerwona flaga. Odruchowo odwróciłem głowę w kierunku kalendarza, ale pierwszy maja był odległy, a rocznica rewolucji była już dawno za nami. Nagle coś śmignęło mi koło ucha i z impetem wpadło do domku i przysiągłbym, że kątem oka widziałem moją ulubioną babinę przelatującą na miotle, ale było to tak nieprawdopodobne, że mózg nie przyjmował tego w ogóle do wiadomości. Coś mnie jednak podkuśiło, że by dmuchnąć delikatnie w stronę domku...

Czerwona flaga rozpostarła się na wietrze ukazując białą gwiazdę wpisaną w równie biały półksiężyc. Wszystko stało się jasne – w moim piernikowym domku zaległa się turecka Baba Jaga. Tylko, co ona robiła tak daleko na północy? Czy więdźmy migrują tak, jak ptaki?

Skoro już miałem nową i dość egzotyczną lokatorkę, postanowiłem ją ugościć na naszej polskiej ziemi i powitać jak należy, puszczając w niepamięć bliskie spotkanie z miotłą.

Zestaw chleb i sól wydał mi się dość pretensjonalny, tym bardziej, że w Turcji sól nigdy nie była żadnym bogactwem, choćby z uwagi na osiemdziesięciokilometrowe, okresowo wysychające, słone jezioro. Po prostu wziąłem to, co miałem pod ręką, czyli paluszki w sezamku oraz solone orzeszki „Popularne” i zbliżyłem się do domku. Chyba zadziałała magia upieczonego przeze mnie domku, bo oto niewielki budynek nagle urósł w oczach, a ja stałem się na tyle malutki, że niewielkie do tej pory drzwiczki stały się dla mnie odpowiednie.

Z pewną nieśmiałością delikatnie zastukałem do drzwi. Długo nie musiałem czekać. Drzwiczki się uchyliły ukazując zaskoczoną babinę w nieśmiertelnej chuście na głowie.

- Merhaba! (tur.: dzień dobry – przyp. red) – wypaliłem. – Herclisz wilkomen, tu tego, chlebem i solą!

Staruszka obnażyła dwa żółtawe zęby w grymasie, który można by nazwać uśmiechem i spojrzała na trzymane przeze mnie opakowania z krajowymi produktami.

- Hmmm! – Zapięła z zachwytem. – Susamli ciumbuk! Fistakli! (tur.: paluszki w sezamku, fistaszki – przyp. red)

Widzicie? Od razu inna rozmowa! Wręczyłem babie oba opakowania.

- Litfen, litfen! (tur.: proszę, proszę! – Przyp. red.) – gestem zaprosiła mnie do środka.

Wszedłem. Domek faktycznie był niewielki. Jedna, nieduża izba, stół, dwa krzesła, kilka misek powieszonych na ścianach, obok jakieś pęczki ziół, malutki portret Atatürka no i najważniejszy element wystroju – wielki, chlebowy piec z

tradycyjnym posłaniem u góry. Zasiadłem przy stole, a kobiecina pochyliła się podnosząc z klepiska niewielki, kamionkowy dzban. Do dwóch kubków polał się biały płyn, który chwilę potem wylądował tuż przede mną. Chwilę później tuż obok stanął turkusowy, ceramiczny talerz z rozłożonymi paluszkami oraz sezamkami.

- Ciaj? (tur.: herbaty? – Przyp. red.) – zapytała gospodyni. – Yesil? (tur.: zielona? – Przyp. red.)

Nie bardzo wiedziałem, co to ten „yesil”, więc tylko skinąłem głową. Babcia tymczasem wyciągnęła dwie małe szklaneczki o kształcie kwiatów tulipana i nasypała do środka jakiś ziół. Zrozumiałem. To miała być tradycyjna, turecka herbata, podstawa wszystkich dyskusji o niczym i o wszystkim, które Turcy prowadzili tak namiętnie. Ja tymczasem spróbowałem mętnej, białej ciecicy z kubka. Ajran! Słony kefir mieszany z lodowatą wodą, idealny środek na ugaszenie pragnienia.

- Teszsekir (tur.: dziękuję – przyp. red.). To bardzo Kemal Pasza z pani strony – odparłem jak najbardziej uprzejmie licząc na to, że kobiecina domyśli się po intonacji, o co mi biega.

- Aaaa! Ataturk! – Wskazała na portret. – El ghazi! (arab.: zwycięski – przyp. red.)

Dla pewności pokiwałem z uznaniem głową. Babina, choć tradycjonalistka wychowana w duchu Imperium Osmańskiego, nie potrafiła oprzeć się wielkości tureckiego przywódcy. Mustafa, osmański generał, czyli Pasza, już za czasów sułtana zasłużył sobie na przydomek Kemal. Potem obronił bohatersko Gelibolu, obalił sułtanat, został prezydentem, wprowadził szereg reform, w tym turecki język narodowy wraz z europejską pisownią, europejskie ubiory (ustawa kapeluszu), nowoczesne prawodawstwo... zaiste, były powody, aby Turcy uwielbiali go po wsze czasy. Kiedyś współczesny mu inny wódz, marszałek Piłsudski, rzekł: „Polska to piękny kraj, tylko ludzie ch...!”. Kemal Pasza nigdy tak o swoim narodzie nie pomyślał. Pomimo swej wielkości, nie dał jednak sobie wewnątrz rady z oporem swoich rodaków, co – poprzez chorobę alkoholową – doprowadziło do śmierci wskutek marskości wątroby.

Gdy tak rozmyślałem nad wielkością dokonań człowieka, który cały naród wyprowadził ze średniowiecza i w ciągu kilku lat wprowadził w XX wiek, moja gospodyni rozgadała się, być może odgadując tok moich myśli, ale wszystko to brzmiało dla mnie jak tureckie kazanie. Babcia trąkotała jak najęta, stawiając, co jakiś czas na stole coraz to wymyślniejsze frykasy. Były kuleczki z lokum, krokany orzechowe, chałwa – wszystko z metką „Made In Turkey”. Potem dolma w liściu winogron, baranie mielone z ryżem, gulasz z pomidorów, papryki i sam Bóg wie, czego. W końcu wylądowała przede mną pieczona gęś, ale była tak tłusta, że na sam widok mnie aż mdliło.

- Yok, yok.. Teszsekir (tur.: nie, nie, dziękuję – przyp. red.) – odparłem jak najuprzejmiej siłąc się na uśmiech numer trzy. – Ta gaska ma tyle cholesterolu, że potrzebny mi będzie kardiolog, he, he!

- Kardiolog?! – Wystraszyła się babcia. Tymczasem przez okno dolatywała muzyka z kuchennego radia. Na moje nieszczęście, urocza Eleni śpiewała coś po grecku...

Babcia energicznie poszła w kierunku drzwi, coś zaszurało za moimi plecami i kiedy właśnie się odwracałem, zobaczyłem zbliżającą się szufle od węgla. Nastąpiła ciemność.

Kiedy się ocknałem, siedziałem nadal na krześle, z tą jednak różnicą, że ręce miałem spętane z tyłu powrozem. Łeb mi pulsował, jak po wypiciu grogu na rumie i spirytusie, ale pomimo to aż nazbyt wyraźnie widziałem, co się przede mną rozgrywa. Otóż moja nowa, leciwa sąsiadka właśnie dokładała do pieca. Płomień buchał z otwartych drzwi wielkości bramy Floriańskiej, drwa trzaskały iskrami, żar bił na dwa metry. Kobięcina odwróciła się, spojrzała na mnie chytrze i oblizwała się. Cholera, niedobrze! Nie wiedziałem, że Turcy mają swój odpowiednik Jasia i Małgosi... Pewnie mają na imię Jasmin i Mahmud... Mniejsza o to, ale to okropne babsko właśnie rozpalało swój gigantyczny grill po to tylko, aby i mnie upiec! Czym ja podpadłem? Czy piosenka po grecku i greckie słowo „kardiolog” wprowaдиło babinę w aż tak zły nastrój, czy może wszystko było ukartowane? Może tak, może nie, ale jedno mi się przypomniało: Turcy i Grecy nie znosili się nawzajem.

Z zadumy nad narodowościowymi waśniami wyrwał mnie rechot staruszki, która z impetem dorzucała drewno w palenisko. Pomyślałem nad tym, co mi jeszcze pozostało: modlitwa, czy lament...? Chwila! Modlitwa? Lament?! Jestem genialny!

- Aaaaallaaaaach akbaaaaar! – Zaintonowałem śpiewnie zbliżając się niebezpiecznie do wysokiego ce. – Raaaamaaadani dżihaaaaad!

Tak, jak przypuszczałem! Stara, osmańska szkoła! Moja babina była muzułmanką! Natychmiast padła na kolana bijąc rytmiczne pokłony, i kiedy tak wypięła kościstą d... w moim kierunku, obiema nogami zasadziłem staruszcę potężnego kopniaka. Z okrzykiem przerażenia runęła prosto w palenisko. Zanim jednak spowiły ją płomienie, drugim potężnym kopniakiem zatrzęsnałem wrota pieca. Byłem uratowany!

Niestety, ze szczeliny popielnika zaczął się unosić czarny, gryzący dym, który powoli zaczął wypełniać niewielkie pomieszczenie. Zacząłem szarpać krępujące mnie więzy, aż w końcu udało mi się je rozerwać. Atmosfera zgęstniała, lecz jakoś udało mi się dotrzeć do drzwi, szarpnąłem za klamkę i wypadłem na zewnątrz. Po chwili zemdlałem.

Do rzeczywistości przywołał mnie dzwonek mojej komórki. Odruchowo złapałem aparat, po czym rozszczebiotany głosik żony oznajmił mi, że już jest na dworcu i za pół godziny będzie w domu. Ufff! To dobrze!

Rozejrzałem się dookoła i włosy stanęły mi dęba z przerażenia. Kuchnia wyglądała jak chlew, zapaćkana jakąś mazią stolnica, wałek, garnki, mikser i

wiecznie połyskujący, kuchenny blat. O zlewie nie wspomnę! Z wnętrza kuchenki unosiły się kłęby czarnego dymu. Wstałem z impetem, aby wyłączyć piekarnik i wtedy pusta butelka po rumie rozbiła się o podłogę. Wszystko jasne! Wyłączyłem gaz i uchyliłem drzwiczki. Po chwili jasnym było, że zamiast piernika wyszły mi węgliki spiekane. Tylko czy moje szczęście uwielbia chrupkie ciasteczka? A może bardzo chrupkie ciasteczka? Albo bardzo, bardzo chrupkie ciasteczka?

Popatrzyłem na rozbitą butelkę po „przednim” trunku. Moja turecka Baba Jaga była tylko sennym majakiem, wytworem mojej chorej wyobraźni upojonej do granic wytrzymałości oparami alkoholu. Przynajmniej to był powód do ulgi! Cóż mi jeszcze pozostało? W ciągu pół godziny chyba zdążę posprzątać?

Ochoczo sięgnąłem po zmiotkę i szufelkę. Moją uwagę przykuły dwa identyczne szczegóły. Na obu nadgarstkach miałem bardzo wyraźne otarcia. Otarcia od sznura krępującego ręce.

*To jakby dowód trochę niewystarczający, prawda?
Przecież oprócz bajek o naiwnych dziewczuszkach w czerwonych
czapeczkach, jest także mnóstwo innych, o wiele
piękniejszych opowieści.*

*Wywodzą się one, co prawda, z bajek, lecz z racji
wieku i rozmachu, same stały się już klasyką
i zaległy u podstaw nowoczesnej fantastyki.*

*Dlatego w następnej opowieści odwołam się
do klasyki.*

CZARAMI I ABSURDEM

Władca Pierścieni: Drużyna Pierścieni

Mrok spowijał setki korytarzy, które wiły się kilometrami. Wokół unosił się zapach wilgotnej ziemi, znak nieomylny, że oto wielkimi krokami zbliżała się jesień. Nikt nie przepadał za tą porą, gdyż był to czas intensywnych poszukiwań dwojakiego rodzaju: po pierwsze - za jakimś szybkim, tanim i w miarę zdrowym pożywieniem, po drugie - za bezpiecznym schronieniem na czas zimowych, mroźnych i długich nocy. Sandalf podążał korytarzem przyodziany w swój nowy, markowy płaszcz z kapturem pełen nadziei, że spotka go ktoś, kto doceni jego ekstrawagancki i super modny, nowy nabytek. Wtem niebo otworzyło się nad nim, ziemia zadrżała i nastąpiła oślepiająca jasność. Jakaś nieznana siła wyższego rzędu porwała go w górę.

Wielki, ostry niczym brzytwa pazur dotknął delikatnie szarej ściany. Jego właściciel, kimkolwiek był, wiedział, że ofiary przed nim nie uciekną. Delikatnie, niemalże czule przeciągnął po lekko chropawej ścianie rysując powierzchnię. Z delikatnym piskiem pazur przejechał po powierzchni, by po chwili zniknąć z pola widzenia.

W mroku dało się wyczuć ruch. Nie pamiętał, skąd i gdzie, ale wyczuł, że nie jest tu sam i to zdany na łaskę obcego, który dzielił z nim mrok.

- ...__...__,,,.....__,_ - zapytał przerażony.

- __,__,__,_ - odpowiedział jakby znajomo mrok.

I wtedy stało się...

...że co? Trzeba dubbing? Ależ panowie, to jest film niskobudżetowy, nie stać nas było na tłumaczenie z dżdżownicowego na ludzki! No dobra – chwila!

Czy jest tłumacz na sali?

Tak?

Super! Możesz dziecko tłumaczyć temu nieukowi, co to nic nie rozumie? Tak?

Limuzyna i prywatna garderoba z pokojówką? Dobra, damy ci później lizaka.

Uwaga, cofam taśmę!

<< REWIND

(bzzzzzzzzzzzz)

STOP

> PLAY

...dało się wyczuć ruch. Nie pamiętał, skąd i gdzie, ale wyczuł, że nie jest tu sam i to zdany na łaskę obcego, który dzielił z nim mrok.

- Ktoś żeś ty, mów w imię Czarnoziemu! - Zapytał przerażony.

- Srodo, rosówka... tu żem ci ja... - odpowiedział jakby znajomo mrok.

I wtedy stało się coś, czego nie spodziewał się żaden z rozmówców: wokół zaczęły się odzywać same dobrze znajome głosy. Było ich dużo, mnóstwo, coraz więcej. W końcu przeszły w jedno wielkie crescendo, a kiedy pisk osiągnął apogeum, odrobinę spanikowany Sandalf pacnął swoim potężnym ogonem, (czyli całym ciałem) o podłogę.

- Cisza! – Wrzasnął. A ponieważ był ze wszystkich najstarszy i wiedział o życiu już prawie wszystko, cieszył się nadzwyczajnym wśród pobratymców posłuchem.

- Kto tu jest jeszcze, odzywać mi się po kolei! – Rozkazał władczy tonem.

- Simli syn Slojna! – Zameldował jakiś gruby, niski głos tuż poniżej.

- Slovelas! Tu żem ci ja! – Dodał zniewieściały głosik trochę na prawo. - Obok mnie jest Sarvena i Saragorn, a poniżej chrapie Sim Sombadil, więc w tej opowieści też go chyba pominiemy!

- Rzekłeś! – Zgodził się ochoczo Sandalf. – Ile nas tu może być?

Zaległa cisza przerywana pojedynczymi szeptami. Po chwili odezwał się ktoś z prawej.

- Panie, jest nas około trzystu pięćdziesięciu na sztuki i jakieś cztery metry na długości!

- Dzięki ci, mości... za te długości – odparł uprzejmie mędrzec. – Hej tam, na prawo! Obadać mi tam, czy jest wyjście z tej nie komfortowej sytuacji?

Dało się słyszeć szuranie, po chwili cienki głosik oznajmił z dala.

- Ściana panie!

- A na lewo?

- To samo – dodał inny głos z oddali.

- Przód i tył? – Dopytywał się starzec.

- Także ściana!

- No to mamy przesrane! – Zawyrokował mędrzec. Po chwili począł stękać i zipać.

- Co czynisz panie? – Zapytał Srodo.

- W połach płaszcza mam mój magiczny kostur, pozwoli on nam rozświecić mrok.... Mam! – Oznajmił triumfalnie Sandalf. – Ma ktoś draskę?

- Spróbuj o podłogę – poradził Simli syn Slojna. Tak też się stało. Po chwili magiczny pastorał Sandalfa jarzył się jasnym płomieniem.

- Jaki ładny płaszcz! – Zauważył Simli. – Nie za duży, aby?

- Niestety, produkują tylko rozmiar europejski...- staruszka rozsadzała duma, bo jego nowy nabytek został zauważony. – Ma, co prawda kapturek, ale liczy się marka!

- „Durex” – odczytał metkę pełen podziwu stojący najbliżej Srodo.

- Eeeee tam! Chińska podróba!

- Ktoś ty?! – Krzyknął przerażony starzec widząc przed sobą czarnego osobnika zupełnie innej rasy.

- Wuj Włóczykij – odparł obcy.
- Jesteś obcym? – Bardziej stwierdził, niż zapytał mędrzec.
- Zaiste jesteś mędrce! – Skwitował kwaśno Wuj. – To chyba jasne jak twój pastor! przecież moje imię zaczyna się na W, a nie na S tak, jak wasze!
- To, co tu robisz?
- A bo ja wiem? – Obcy przysiadł na odwołku. – Siedziałem sobie spokojnie pod jabłkiem, nagle ŁUP-DUP, no i znalazłem się tutaj.
- Sandalf?
- Co?
- Czy ty w zeszłym tygodniu nie byłeś Saladriela?
- Kobieta zmienną jest! – Skwitował filozoficznie staruszek. – Pamiętaj Srodo, że jesteśmy obojnakami, a żeby życie miało smaczek...
- Aha... - uciął szybko speszony Srodo, który nie był aż tak głęboko doświadczony. Dopiero teraz wszyscy rozejrzeli się dookoła. Równe, szare ściany jednolicie wchłaniały padające na nie światło magicznej laski.
- A niech to krocionogi kopną! – Wrzasnął Slovelas. – Miał być WŁADCA, a to jakiś zasmolony CUBE! Ja nie chcę do sześcianu!!! Buuuu!!!!
- Przestań się mazać, mazgaju. Przywołuję cię do porządku! – Przywołał do porządku mazgaja mędrzec.
- Dobra, już dobra! – Odparł mazgaj przywołany do porządku.
- No tak, teraz w porządku! – Mruknął zadowolony starzec. – Co to ja tu ten-tego? Aha, trza nam znaleźć wyjście z tej nie komfortowej sytuacji. Któż mógł nas uwięzić?
- Stare Kargule! Buuuu! – Rozryczał się znowu Slovelas. – Zabrali nas na ryby! Buuuu!
- Raczej nie! – Sandalf pokręcił głową (?) w niemym przeczeniu.
- Stawiam na mordercze krety z Morderu! – Prychnął Simli syn Slojna. – Polują na nas od dłuższego czasu!
- Ktokolwiek to był, miał chyba w tym jakiś plan... – zadumał się mędrzec. I miał rację. W tym oto momencie stały się dwie rzeczy: magiczny kostur się dopalił i nastąpiła nagle chwila ciemności. Wnet ponownie światło zalało spowite mrokiem więzienie tak wielu towarzyszy i na nieboskłonie pojawił się wielki palec sprawcy tego całego zamieszania. Palec uzbrojony w morderczy, ostry pazur.

Po chwili towarzysze spostrzegli, że znajdują się już wewnątrz przejrzystego walca z dziwną rzeźbą ustawioną centralnie. Cisza trwała do momentu, aż dziwna, stalowa rzeźba poruszyła się i poczęła powoli wirować. Szybciej, szybciej... coraz szybciej...

* * *

Stojący obok kuchennego blatu ciemnozielony smok w okrągłych okularach oblizał wargi na widok pracującego miksera. Po chwili drugi, trochę większy smok, przyodziały w biały fartuch, wlał zawartość pojemnika do gigantycznych rozmiarów szklanicy.

- Do dna, profesorze Moria! – Zadudnił basem smok w laboratoryjnym fartuchu.

Zielony smok w okularach popatrzył chwilę na kolor, zbadał węchem bukiet, mruknął coś, co brzmiało jak „na głowie” i wychylił zawartość potężnego naczynia. Po chwili oblizał wargi raz jeszcze, po czym solidnie mu się odbiło.

- Na zdrowie, profesorze Moria! – Odparł uprzejmie smok w bieli.

- Wie pan, co, docencie Wawelski? – Rzucił okularnik po chwili namysłu. – Może i pański wynalazek zrewolucjonizuje nasze zasady żywienia, ale jedno muszę przyznać: porządnej, chrupkiej dziewczicy nie zastąpi nic!

- Ba! – Mruknął filozoficznie docent Wawelski, sięgnął ręką do kartonowego pudła i nałożył drugą porcję dżdżownic do miksera.

Tak oto drużyna pierścienic wylądowała w trzewiach Morii. Gdzie była po paru godzinach – tego już nie opisze żadna część trylogii.

*Klasyka klasyką, lecz jak ktoś przytomnie zauważy,
pochodna fantastyki określana szumnie jako Fantasy,
jest bardziej baśniowa.*

*Znawcy przedmiotu już z pewnością podnieśli raban
siłąc się na serię protestów, sprzeciwów, blokad
i strajków okupacyjnych z wywożeniem
na taczkach włącznie.*

*Szanowni Panowie!
Macie rację!*

*Tak naprawdę fantastyka była najpierw science-fiction,
dopiero później rozpadła się na poszczególne kategorie,
by dopiero niedawno być zebraną do kupy pod hasłem
"ogólnie pojęta fantastyka".*

*A jak wiadomo, u podstaw SF leży nauka,
a ściślej ujmując – fizyka.*

*Zapraszam na zupełnie fizyczną wycieczkę
do świata fantastyki.*

CZARAMI I FIZYKĄ

Jak sprawdzałem teorię względności

Tak się jakoś złożyło, że opisywanie świata czarów, smoków i innych baśniowych stworów znudziło mnie nieprzeciętnie. Na samą myśl o czarowaniu robiło mi się wręcz niedobrze... Zapyta ktoś dociekliwy, dlaczego? Cóż, jako mag średniej klasy miałem to, na co dzień, zleceń dużo, to i dużo czarów. Postanowiłem napisać, więc coś na temat absolutnie zwyczajny, znaczy się - nie magiczny. Może inaczej - dla mnie był to temat niemalże z dziedziny fantasy, a dla przeciętnego człowieka ze świata ludzi najnormalniejszy w świecie. Kogo to jednak obchodzi...?

Ostatnio dużo myślałem o Elvisie. Elvis to był gość - powiedział \\\"ROCK\\\" i zaraz nastał \\\"ROLL\\\". \\\"Elvis jest wielki!\\\" - pomyślałem i postanowiłem napisać coś o nim. Starym swoim zwyczajem popadłem w nostalgiczną zadumę (nostalgia to taka ludzka nosówka, czyli psia choroba nosa), oczywiście nad samą postacią Elvisa. Przede mną na stole stała półlitrowka talentu na wypadek, gdyby mi żadna rozebrana muza nie chciała przyjść na myśl. Dumiałem tak, więc w twórczej niemocy, aż postanowiłem wpierw oczyścić ciało, potem duszę, a na szarym końcu pojemnik na talent. Leżałem, więc sobie w wannie kultywując teorię błędnego lenistwa, gdy lustro tuż nad wanną rozbłysło znajomym blaskiem...

- Cześć, co robisz? Nie przeszkadzam? - Z lustra patrzyła na mnie uśmiechnięta brunetka o kruczoczarnych włosach. Moja ulubiona czarownica, recenzent i najpoważniejszy krytyk wszystkich moich tekstów.

- Przeszkadzasz mi. Poza tym cześć. Przyłączysz się?

- Dziękuję - mruknęła dziewczyna zerkając na pianę.

- Dziękuję tak, czy dziękuję nie?

- Tak... to znaczy, nie. Nawet nie wiesz ile to energii zabiera!

Nad powierzchnię wody wyskoczyła gumowa kaczuska.

- Figle w wannie? No, to zawsze zabiera dużo energii - odparłem.

- Mówię o zaklęciu teleportacji przez lustro! - Gniew tajemniczej brunetki był naprawdę udany, a przecież wiedziałem, że wcale się nie gniewa.

- No dobrze, skoro nie figle, to pewnie masz jakiś biznes? - Zapytałem już na poważnie.

- Widziałam w szklanej kuli zajawkę twojego nowego opowiadania...

Przyznaję, że zaskoczyła mnie zupełnie. Ledwie dziesięć minut temu myślałem o Królu, a już sieć czarno-przestrzenna zamieściła reklamę artykułu o nim.

- Do czego zmierzasz, skoro nie zmierzasz do umycia mi plecków? -

Postanowiłem wy badać temat.

- Nie skrobnąłbyś czegoś o nas? - Padło pytanie.

- To znaczy?

Diadem skryty pod włosami dziewczyny rozjaśnił się błękitnawym blaskiem.

- Coś o czarownicach, magii... może jakiś horror?

- A może jakiś romans, na przykład w wannie? - Zaproponowałem chlapiąc wodą w lustro.

- Znasz wiersz "Marzenie"? - Tajemniczy uśmiech czarownicy kojarzył mi się z Giocondą.

- Sam go napisałem! - Odrzekłem przytomnie wiedząc, na co się zanosi.

Usta wykrzywione w serduszko były bezlitosne.

- "Marzenie ściętej głowy". Bez obrazu, to cytat.

No tak, przez własną głupotę dałem jej rękopis wszystkich moich wierszy... O święta naiwności!

- No już dobra. Ale najpierw skrobnę coś naprawdę poważnego. Bez cytatu.

- O czymś konkretnym? - (Zdziwienie).

- Wiesz, ostatnio dużo myślałem o Elvisie...

- Nie przejmuj się! - (Jeszcze większe zdziwienie). - Król odszedł.

- Co?! I ty dopiero teraz mi to mówisz? - (Największe zdziwienie w historii wszechświata).

- A co jest?

- Chciałem coś skrobnąć o kimś wielkim ze świata ludzi, ale widzę, że to nie ma sensu! Śpieszmy pisać o nich, tak szybko odchodzą!

- Też problem! Otwórz po prostu encyklopedię i wybierz sobie kogoś. Najlepiej żywego, albo przynajmniej jeszcze ciepłego - dziewczyna wzruszyła ramionami i najzwyczajniej zniknęła z lustra. Błękitna poświata również.

Tak też zrobiłem. Złapałem pierwszą, lepszą encyklopedię wydaną w świecie ludzi i otworzyłem na chybił - trafił. Padło na "\"Względności Teoria\"". Nie wiem, które to imię, a które nazwisko, ale temat był mi znany, a przynajmniej tak mi się wydawało.

\"Względne, czyli nieoznaczone\". No tak, teoria nieoznaczoności Heisenberga była mi dobrze znana. Aha, to ten od "kota Heisenberga"! Wsadził kota do tekturowego pudła, strzelał do niego z mausera i liczył prawdopodobieństwo przeżycia kotka. Dość proste, aczkolwiek brutalne. I względne. Tylko gdzie tu miejsce dla Einsteina? Czy on też zmieści się do pudełka? Zacząłem szukać pod hasłem "\"ALBERT\"", ale znalazłem tylko brata Alberta, który i tak pomimo ubóstwa został obwołany świętym. Teoria chaosu też się miała nijak do teorii względności. Siadłem i zacząłem przeglądać kolekcję moich płyt CD. Pod czaszka coś mi zaczęło dymić i jakby odrobinę świtać.

Jak później wykazały badania kliniczne, to tylko mózg mi się zlasował.

Z przepracowania.

W końcu znalazłem to, czego tak uporczywie szukałem - dużego portretu Einsteina. Tytuł płyty głosił wzniośle:

$$E = mc^2$$

Ten wzór coś mi mówił. Kojarzył mi się, co prawda, z antyczną transformacją Galileusza, ale jak wiadomo Galileusz już dawno gryzie korzonki, więc uznałem to za przeżytek. Transformacja Lorenza była dla mnie zbyt skomplikowana, zresztą, kto by się przejmował tymi ludzkimi dywagacjami na temat wszechświata, więc wyczerpawszy wszelkie zasoby posiadanej wiedzy oraz swoje osobiste zdolności percepcji, postanowiłem poznać sedno sprawy poprzez tzw. "chłopski rozum". W tym celu, aby poczuć się przez moment chłopem, schowałem do szafy dyplom wyższej uczelni ezoterycznej i przywdziałem gumofilce. Wrażenie było pełne, beret z antenką okazał się zbędnym rekwizytem.

I wtedy znalazłem odpowiedź: teoria ta mówi, że wszystko jest względne. Wszystko, co jest czarne, może się nagle okazać białe, i na odwrót. Czyli dwa plus dwa jest cztery. A także pięć. Być może nawet trzy.

Wystarczyło zresztą popatrzeć na pogodę za oknem, a i historia знаła takie skomplikowane przypadki. Np. pan doktor Jeckyl był zapewne dyplomowanym lekarzem, ale także bezwzględny psychopata. Proste!

Po tym odkryciu coś mi zaczęło świtać w głowie. Przecież wyżej przytoczony wzór odnosi się do ciała, (czyli masy), a także do energii, którą poprzez równowagę relacji ciepło = energia można przyjąć za ciepło. W celu przeprowadzenia dowodu wprost udałem się z wizytą towarzyską do pewnej młodej, zgrabnej zielarki.

Gdzie mieszka? - Tego zdradzić nie mogę, ale mogę tylko dodać, że ma przytulną dziuplę, a w niej uroczy piecyk z żeliwną blachą w kuchni.... Niczego więcej nie potrzebowałem. Po zwyczajowym powitaniu oraz mętnej, ziołowej herbatce wyłożyłem jej, na czym polega moja wizja einstenowskiej teorii, następnie zabrałem się rażno do roboty - przecież należało przygotować grunt pod eksperyment. Ja podłożyłem do pieca, aby nie było nam zbyt zimno (mam słabość do gęsiej skórki), a ona poszła ubrać coś mniej krępującego (i dostała gęsiej skórki). Było bosko, ale do czasu, ponieważ wszystko, co dobre szybko się kończy, natomiast wszystko, co boskie kończy się w tempie zastraszającym.

Po powrocie stały się dwie rzeczy: na biurku znalazłem małą książeczkę (tomik moich wierszy) z karteczką o treści "Nie przejmuj się, potomni uznają cię za klasyka" oraz zreasumowałem doświadczenia (te nie seksualne) dochodząc do wniosku, że wszystko na tym świecie jest względne: kot, Albert, moje wiersze, a nawet romantyczne chwile spędzone z piękną driadą.

Gdy rozpalona siedziała w samych majteczkach na moich kolanach czułem, że w takiej chwili nawet wieczność byłaby dla mnie zaledwie chwilą. I była. Natomiast, gdy przez nieuwagę i nieznaną topografię terenu usiadłem w samych slipach na rozpalonej do czerwoności płycie kuchennej, to ta chwila wydała mi się wiecznością.

Jak to było?

$E = m c^2$?

Kwadrat?

Teraz dopiero wzór mistrza Alberta nabrał dla mnie głębokiego sensu! E to nic innego jak względna energia odbieranych doznań. Czynniki m i c to masa ciała oddziałującego w przeliczeniu na 1 dm sześcienny. Ostatnia niewiadoma też stała się dla mnie logicznie oczywista - czynnik c to nic innego, jak bezwzględna wartość z różnicy temperatur pomiędzy dwoma ciałami: moim i tym oddziałującym.

I wszystko stało się nagle względnie proste.

*Fantastyka nie miałaby prawa zaistnieć
bez podstawowych swych elementów składowych.*

*Pierwszym i jak najbardziej oczywistym jest
fantastyczny bohater.*

Bez niego nie byłoby przecież opowieści!

*Może on mieć ukryte zdolności, zupełnie jawne,
nadnaturalne zdolności, lub po prostu samemu
być stworem absolutnie fantastycznym.*

*Czy ktoś z was spotkał dziś w sklepie strzygę?
Może smoka na poczcie? Elfa w tramwaju?
A może wampira w banku?*

CZARAMI I HORROREM

Opowieść aseptyczna

Ta opowieść zaczyna się właściwie w momencie, gdy jako student pracowałem dorywczo w zakładzie szklarskim. Ot, prosta robota: wynoszenie formatek, wnoszenie szkła, pomoc przy krojeniu. Majstrem wieczornej zmiany był pan Edziu, człowiek dusza, który z uśmiechem i anielską cierpliwością zdradzał mi największe arkana sztuki obróbki szkła. Dzięki niemu wiedziałem, czym się różni stopsol od antysolu, jak powstaje lustro zwykłe, a jak „łososiowe”, czyli złote i czym to się je, jakie luzy dawać do szyb i co to jest szyba zespolona. O klejonkach nie wspomnę; dość przyznać, że nauka nie poszła w las, bo wiedza nabyta podczas dorabiania sobie na lewo u szklarza zaprocentowała mi kilka lat później i był to procent najwyższy z możliwych. Dzięki niemu wygrałem życie.

Staż odbywałem w ośrodku leczenia nerwic, niestety za psie pieniądze. Nie żebym gardził szkłem, broń Boże! Niestety, z kasą nie chciał przyjść stosowny papier, a to mi było potrzebne do znalezienia stałej, dobrze płatnej pracy. Co ja tu będę pióro strzepić – każdy z nas przechodzi te wszystkie etapy kariery zawodowej, każdy z nas płaci jakieś frycowe... No, więc zapłaciłem i ja. Wylądowałem na telefonie jako bardzo zaufana osoba i przyznam, że ta zaszczytna funkcja powinna przypaść doświadczonemu psychologowi, a nie młokosowi zaraz po studiach. Dość, że podczas trzech godzin dyżuru przy telefonie zaufania zadzwoniło do mnie pięć osób. Cztery z nich po rozmowie ze mną popełniły samobójstwo, przy czym, jak się okazało, troje z nich zadzwoniło do mnie przez pomyłkę. No i dostałem papiery ze stażu do ręki, dobrą opinię, ale łatka jonasza przylgnęła do mnie jak gówno do pantofla. Potem był salon samochodowy, gdzie wciskałem ludziom stare graty sprowadzane z zagranicy i ta niemiła historia z kobietką, która kupiła samochód Jasia Fasoli. No tak, trafił nam się żółty mini, identyczny, jak ten na filmie. Kobiątka kupiła, dumna odjechała, a przez następny tydzień jej mąż wydzwaniał do nas kilka razy dziennie, że to niemożliwe, aby autko tego rozmiaru paliło pięćdziesiąt na sto. Chyba, że ma napęd odrzutowy. Po tygodniu poprosiłem o przyjazd do naszego punktu, wsiadłem jako pasażer i poprosiłem panią, aby wsiadła z powrotem do tego cudu brytyjskiej komunikacji i obwiozła mnie po okolicy. Pani wsiadła, wyciągnęła małą, zakończoną plastikową gałką rączkę i... powiesiła na niej torebkę. Wszystko stało się nagle jasne! Ta prześliczna wajcha to była dźwignia ssania, a nie wieszak!

Nie wiem, jak mocno wydarł się na nią mąż, ale ja chyba byłem głośniejszy, dlatego już w poniedziałek szedłem do serwisu komputerowego na okres próbny. Nie był to może szczyt moich marzeń, ale żyć za coś trzeba było, niestety do następnego wtorku. Trzeciego dnia zadzwonił klient i skarży mi się,

że mu klawisz K w klawiaturze nie działa, a dopiero przecież zakupił komputer i w ogóle, co to ja sobie nie myślę. Nie myślałem. Nie myślałem, że będę miał do czynienia z idiotą. Poradziłem, żeby odpiął i przywiózł nam, co trzeba, a my wymienimy na gwarancji. Po czterdziestu minutach pojawił się w sklepiku trzymając dumnie w ręku pojedynczy klawisz z literką K... K jak mać. W czwartek byłem już na rozmowie, ale co tam! „Damy panu odpowiedź w przyszłej dekadzie, proszę czekać!” Słyszając taki slogan wielokrotnie, wysyłałem moje CV gdzie tylko popadło. Było ciekawe ogłoszenie w prasie? Posyłałem. W urzędzie pracy? Posyłałem. Choćby i było na słupie – też bym posłał. Aż ni z tego, ni z owego otrzymałem odpowiedź. Z banku. Nie czytając, jaki to bank, otworzyłem kopertę. Radość przepełniła mi skołatane serducho, bo z lakonicznego tekstu wynikało, że moja aplikacja wzbudziła w dyrekcji zainteresowanie. Co prawda przez myśl mi przeszło, że nie mam pojęcia o bankowości, funduszach i oprocentowaniu, ale jak wykazały dalsze wydarzenia, nie miało to żadnego znaczenia.

Pracowałem już trzeci tydzień na dziennej zmianie wydając, co jakiś czas bezcenne depozyty kurierom i rozchodując surowiec. Moje szczególne umiejętności analitycznego myślenia, a także brak obrzydzenia sprawiły, że stałem się najlepszym kandydatem na stanowisko kierownika jednoosobowego działu utrzymania ruchu w banku. Praca była monotonna; co jakiś czas podjeżdżał umundurowany kurier, przedkładał mi plik dokumentów, ja to sprawdzałem, podbijałem, szedłem do sejfu, otwierałem, pobierałem odpowiednią ilość i jakość, wydawałem... Czasem miałem gości pod postacią uzupełnienia sejfu, wtedy w wielkim pośpiechu obsługa mikrobusu wyładowywała cenny urobek całego dnia z różnych punktów w mieście. I tak się życie toczyło. Po pewnym czasie z nudów opowiadałem znajomym bajeczki, jaką to mam ciekawą pracę, ile to się rzeczy dzieje, jaki to nie był napad na mój bank, choć nigdy napadu nie było. A ja z uporem maniaka opisywałem kumplom wieczorem przy piwku, jak to do kontuaru podchodzi zamaskowany połówką damskiej rajstopy jegomość, wyciąga pistolet i mówi:

– To jest napad, otwieraj sejf!

– Proszę bardzo – odpowiadam z uśmiechem i ku zaskoczeniu delikwenta otwieram ten cholerny sejf. A właściwie coś, co wygląda jak sejf, bo też jest ze stali nierdzewnej, jest duże i ma skomplikowane zamki. Więc ja to otwieram, wyciągam woreczek foliowy z cieczą w kolorze surowej wątróbki, rzucam gościowi i patrzę, co robi.

– Co to, kurwa, jest?! – Ryczy zaskoczony bandzior.

– Pyszniutka be-er-ha-plus! – Zachwalam z uśmiechem. – Najlepiej smakuje z pieprzem i schłodzona do ośmiu stopni Celsjusza!

– ...to jest... – bandzior opuszcza broń i z niedowierzaniem wpatruje się w woreczek z podejrzaną etykietką.

– Aha! – Potakuję. – Niektórzy dodają to do jajecznicy, lecz osobiście uważam, że jako dodatek do sosów i mięs jest niezastąpiona!

Gość lekko zieleńieje na twarzy.

– Co, bukiet nie odpowiada? – Pytam zatroskany uważnie obserwując gościa. – Woli pan bardziej wytrawne? Er-ha-minus mam, ale tylko A. Moim zdaniem to sikacz, bo ma metaliczny posmaczek. Dawca choruje chyba na nerki...

Facet jest już bardzo zielony.

– ... to jest ...

– Krew ludzka, konserwowana – dodaję z uśmiechem. – Zgodnie z etykietką. Dać jeszcze pół litra?

Wiem, że delikwent zaraz puści pawia, ale na całe szczęście nie zdążył.

Wcześniej zemdlał. A ja w tym czasie chowam bezcenny woreczek z powrotem do stalowej chłodni i wybieram numer 997.

– Cześć – mówię. – Tak, to znowu ja. Mam kolejnego analfabetę. Gość odcyfrował tylko BANK, nie doczytał, że to BANK KRWI... Tak jak i tamci, leży mi na podłodze, cymbał jeden.

I tak, co wieczór. Historyjka wkrótce się wszystkim osłuchała, choć za każdym razem rzeli jak stado dzikich centaurów. Dzięki temu jakoś gładko przełknęli moją nową historyjkę, choć w tym przypadku nie musiałem już kłamać. Nie musiałem nikomu wciskać kitu, jak to zostałem Łowcą. Okrutnym, bezwzględny Łowcą. Punktem zwrotnym w mojej nietypowej karierze była prośba technicznego o czasowe przejście na nocną zmianę.

No właśnie – zdradziłem już połowę mojego największego sekretu: jestem Łowcą. Samozwańcem. Nie jakimś tam wybrańcem, pomazańcem, pomyłecem. Po prostu odkryłem w sobie mordercze instynkty i robię to, co lubię. A wszystko przez naszego dyrektora technicznego. Wyobraźcie sobie, że ten cymbał nie był nawet świadom skali spisku, w jakim wszyscy uczestniczyliśmy. Ale... właśnie dzięki temu wszystko wyszło na jaw i mogłem odkryć w sobie moje niesamowite talenty, które z bezwolnej ofiary pomogły mi się przeistoczyć w myśliwego.

Katalizatorem całego następującego łańcuchu zdarzeń było zniknięcie Stacha, nocnego zmiennika. Widywałem go głównie rano i choć facet był mrukowaty, lubiłem go za prostotę formułowania myśli. A miał, kiedy myśleć – rzadko, kiedy na nocnej zmianie działało się cokolwiek, a gdzieżby tam miało się dziać coś ciekawego! Pamiętam, jak po raz pierwszy obejmowałem dzienną wachtę, a mój cokolwiek ekscentryczny kolega zdawał mi dyżur wraz z całym tym krwawym dobrodziejstwem. Oczywiście towarzyszył mi personalny, który specjalnie przyjechał z oddziału wojewódzkiego, aby wprowadzić mnie w arkana magazynowania i gospodarowania życiodajnym płynem ustrojowym, jakim niewątpliwie jest krew. Weszliśmy do sali operacyjnej, zza kontuaru wychynęła strasznie chuda postać na oko po czterdziestce. Jak się później okazało, Stach, choć dość poważnie wyglądał, dobiegał dopiero trzydziestki.

Dość, że ten kościsty wypłosz na mój widok warknął tylko przyjaźnie coś pod nosem, po czym dodał:

– Mmmm. Nowe mięsko...

Personalny zmierzył go wzrokiem.

– Masz tu – wypłosz walnął w stół papierami na podkładce z napisem „Scholar”. Zadrukowana tabela wykazywała, kiedy i o której był kurier, skąd przyjechał, ile i jakiego sortu pobrał. Prosta rzecz! Tak wtedy myślałem.

– Dzięki. Tomasz jestem – wyciągnąłem rękę. Popatrzył na nią obojętnym wzrokiem, po czym po chwili, jakby bez przekonania, uściśnął.

Tymczasem personalny przeglądał zapiski oparte plecami o coś, co mi się wydawało kasą pancerną.

– Skoro już się znacie, poproszę pana o przekazanie nowemu koledze, co nieco wiedzy o naszej pracy – jego nieskazitelnie błyszczący ołówek błędził po notatkach.

– To pudło za dyrektorem, to nasz sejf. Strzeż go jak oka w głowie, wszędzie pełno krwiopijców!... – Zaczął Stach, ale nie było mu dane dokończyć.

– Proszę nie żartować sobie z nowego kolegi! – Wtrącił się dyro odrywając wzrok od papierów.

– Taaaaa... Jak otworzysz sejf, po lewej masz plusy, po prawej minusy. Leci od góry zerówka, potem jak w alfabecie: A, B, AB... Jak się, która skończy, trzeba rozpisać zamówienie, wtedy punkty rozpoczną zbiórkę i wieczorem cały ten kisiel ci zwiozą.

– Aha – potaknąłem, choć to wszystko było dla mnie dość niesamowite.

– Tu rejestrujesz wpływy... he, he! Fajnie brzmi! – Dyrektor znowu spojrzał spode łba na mojego zmiennika. – Tu wpływy. Co tydzień inwentarka, zmiennik potwierdza stany. Straty wpisujesz do kolumny na końcu. Tylko nie podpisuj, bo bilans musi się zgodzić!

– Straty? – zapytałem zdziwiony.

– Czasem pakunek spadnie przy przemieszczaniu – wtrącił personalny. – Te nowe woreczki do przechowywania też nie są rewelacyjne. Szkło z podwójnym korkiem było o wiele lepsze...

– Taaa... – mruknął Stach. – Kto by pijał wino z foliowego worka!

Dyro zmierzył go raz jeszcze, więc chudzielec pożegnał się, wziął skórzaną raportówkę na przydługawym pasku i poczłapał rażno do wyjścia. Dla mnie rozpoczęła się pierwsza, krwawa dniówka. Bez napadu, o którym tak chętnie opowiadałem później przy piwku.

Po pół roku byłem już całkiem obcykany, gdzie, co, jak, za ile i po co.

Wiedziałem, że jak przyjeżdżał „Ra-aptek”, to przeważnie była to B Rh+, co najmniej pięć litrów. Inni brali głównie rzadkie grupy krwi, ale „raptusie” brali głównie B+. Pewnego pięknego dzionka dyro techniczny placówki wezwał mnie do siebie i zapytał o Stacha. Wyjątkowo dziś rano papiery czekały na mnie na kontuarze, ale nocnego zmiennika nie było. Cóż, zdarza się! Klucze od tego

przybytku i tak miałem, tak na wszelki wypadek. Kodu do alarmu nie pamiętałem, bo i też nie pamiętałem, kiedy ostatnio alarm był używany. Myślę, że na to pytanie nie potrafił mi odpowiedzieć nikt w firmie. A Stach? Podobno odbił kartę po dziesiątej wieczór, czyli objął zmianę, natomiast, kiedy ją skończył? Nikt nie wiedział.

– Podejrzewam, że pan Staszek po prostu pieprznął robotą – wypalił techniczny.
– Może gdzieś popił?
– Człowieku, to krowa, nie mężczyzna! – Mój rozmówca wzniosł oczy do nieba.
– W życiu opił się tylko mlekiem, alkoholu do ust nie brał!
– Dobra, ja wracam do operacyjnej – odwróciłem się na pięcie. – Jakby, co, to ja chwilowo nie mam zamiaru pieprzyć tej roboty.
– Jakby, co, to proszę wieczorem być pod telefonem – rzucił całkiem serio dyrektorek. – Na nocnej zmianie trochę lepiej płacą, a i spokojniejsza robota. Co do pierwszego miał rację. W miarę delikatnie zamknąłem drzwi do jego pokoju szumnie nazywanego „gabinetem”, nie wiedząc, że w tej drugiej kwestii dyro się cholernie mylił.

Telefon zadzwonił. Piętnaście po byłem już na posterunku i zamykałem za zatroskanym technicznym. W końcu stracił w miarę nienarzekającego pracownika! Usiadłem w fotelu, spojrzałem w grafik. No tak, teraz to mi już tylko nocki pozostaną..., Ale niech tam! Na nocce też można się przekimnąć i jeszcze ci za to płacą. O jedenastej zajechały „raptusie” swoim wysłużonym Polonezem. Tak jak pisałem kilka wersów temu: pięć litrów B Rh+.

Motocyklista na autostradzie. Potrzeba dużo krwi, bo gość chciał przegwałcić kierownicę, która ostatecznie spenetrowała mu trochę wnętrza. Drobiazg, może szczaw pożyje dzięki tym woreczkom do rana. O dwunastej piętnaście telefon, czy mam dychę A minus. Aż tyle nie, ale osiem mogę dać. Dobra, zobacz, czy nie uda się skompletować dostawy z dwóch mniejszych magazynów bliżej szpitala. Ha! Trudno! Na Tomaszka z popielnika iskiereczka mruga – chodź, opowiem ci bajeczkę, nocka będzie nudna. O pierwszej dwadzieścia miałem gościa. Tego oczywiście nie rejestrowałem, ale przyszedł do mnie facet, który był kolejnym ogniwem odmieniającym mój nudny żywot „bankowca”. Trudno zresztą mówić, że przyszedł, bo to ja go wciągnąłem do środka myśląc, że gość jest ranny, albo nagle zasłabł. Dość, że dokładnie o pierwszej dwadzieścia facet zawisł mi na chromowanym pochwycie aluminiowych drzwi prowadzących z ulicy wprost do operacyjnej.

– Nic panu nie jest? – Zapytałem szczupłego mężczyznę przed pięćdziesiątką, który wisiał mi na ramieniu.
– To chwilowe – jegomość próbował się uśmiechnąć, lecz wyszedł mu tylko jakiś taki dziwny, kwaśny grymas.
– Proszę się na mnie oprzeć – dodałem. – Usiądzie pan, odpocznie chwilę... Co prawda był ode mnie wyższy o pół głowy i rzekłbym, że garnitur wręcz na nim wisiał, ale tego, że facet okaże się aż tak lekki, nie podejrzewałbym.

Wprowadziłem go do operacyjnej kopiąc piętą w drzwi. Niepotrzebnie, bo samozamykacz i tak by zadziałał. Oparłem mojego nieoczekiwanego gościa o kontuar i odsunąłem stolik w zaimprovizowanym punkcie oczekiwania petenta. Złapałem gościa pod pachy i ciężko usadziłem w miękkim fotelu.

– Napije się pan wody? – Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

– Dziękuję, nie...

– Jak się pan czuje?

– Trochę mi już lepiej – odparł gość słabym głosem. – Myślałem, że już nie dojdę.

– Na całe szczęście mam nocny dyżur – starałem się podtrzymać rozmowę, bo widziałem, że gość jakby powoli odzyskiwał kolory.

– Czy... – zawiesił głos.

– Czy...? – Powtórzyłem jak echo.

– Czy i od pana dostanę trochę krwi?

To pytanie mnie zaskoczyło kompletnie.

– Transfuzja nie wchodzi w rachubę – burknąłem nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pan wtajemniczony? – Zapytał mnie dziwny gość kładąc głowę na oparciu fotela.

– Wtajemniczony – odparłem, bo przecież byłem członkiem Gildii Miłośników Fantastyki i chyba mogłem się zaliczać do wtajemniczonych. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– To rozumiem pańskie opory – jęknął facet. Dopiero teraz mogłem mu się przyjrzeć. Pomimo wieku, skórę miał gładką, choć bladą. Jego rysy twarzy mógłbym nazwać szlachetnymi, gdyby nie to, że sam delikwent zdawał się cierpieć.

– Nie mam identyfikatora... – westchnął gość.

– Zgubił pan? – Zapytałem przysiadając obok na stoliku.

– Odebrali mi. Jestem seropozytywny.

– C'est la vie – odparłem filozoficznie, ale nic ciekawszego mi do głowy nie przyszło. To już po raz drugi tego wieczora, ale chyba rozumiecie moją dezorientację.

– Złotem zapłacę! – Mężczyzna poderwał się do siadu wyszarpując z kieszeni niedużą monetę, która chwilę potem potoczyła się po stole w moim kierunku. Podniosłem żółtawy krążek i przyjrzałem mu się. Z jednej strony smutne oblicze ukazywała Matka Boska, obok majaczył wytarty napis „...a mater dei patrona hungarie...”, z tyłu był herb Węgier. Obok imienia władcy brak jednak było nazwy Węgier, były natomiast niezrozumiałe skróty i liczba 26. Znałem się na starych monetach jak nikt inny w moim wieku, ale takiego egzemplarza nie spotkałem jeszcze nigdy. I wtedy wszystkie elementy układanki zaczęły mi się same dopasowywać... Moneta była z Siedmiogrodu, pół węgierskiego, pół rumuńskiego księstwa. Nie muszę chyba mówić, skąd pochodził najsłynniejszy gospodar wołoski...

– Siedmiogród... – wyszeptałem oglądając monetę.

- Transylwania – odparł mój tajemniczy rozmówca. – Ojczyzna ukochana i nasze przekleństwo.
- Jak to się stało...? – Spytałem odkładając monetę na blat stołu i choć nie o to pytałem, usłyszałem tylko potwierdzenie szalonej hipotezy, która zaczynała dojrzewać w moim skotłowanym umyśle.
- Od czasu, jak jakiś Murzyn bzyknął małpę gdzieś w Afryce, Rada podjęła decyzję o rozwoju sieci banków krwi. Uruchomili ogromne fundusze, owszem – krew ratuje wasze kruche życie, ale głównie służy nam. Jak każdy z nas, identyfikator miałem i ja. Przychodziłem, odbierałem butelki, potem woreczki... tylko za okazaniem. A potem zateśniłem za tradycją i dziabnąłem tego zataczającego się młodzieńca. Śmierdział klejem i niestety, przenosił HIV. Od tego czasu jestem seropozytywny, a Rada za złamanie przepisu odebrała mi identyfikator skazując na wieczny głód. Kąsać też mi już nie wolno, spiłowali mi kły. Tak oto i ja stałem się ofiarą małpiej zarazy.
- „Wariat” – pomyślałem. - „Albo mitoman! Mało to takich?”. Na wszelki wypadek, gdyby jednak gość był seropozytywny i chciał mnie ugryźć, odsunąłem się na krawędź stolika.
- Niech się pan nie obawia – facet starał się mnie uspokoić widząc moją reakcję.
- Pochodzę ze starego rodu, w którym uczciwość ceni się szczególnie wysoko. Nie odpowiedziałem. Zapadło niezręczne milczenie, ale przyznam, że perspektywę nudnych nocek powoli przesłoniła mi wizyta wariata, który do swojej roli był całkiem dobrze przygotowany. Brak mu było tylko długiej, czarnej peleryny.
- To jak? Da się pan przekupić? – Zapytał szaleniec.
- Podobno ceni pan uczciwość...?
- Owszem, ale głód potrafi przesłonić wszystko. A głód krwi jest silniejszy, niż może pan sobie wyobrazić – zapewnił mnie gość. – Niech pan sobie wyobrazi, jak to jest mieć w życiu tylko jedno pragnienie! Boże, jak ja pragnąłbym umrzeć!
- To wampiry żyją wiecznie? – Zapytałem po raz pierwszy bez oporów używając słowa „wampir”.
- Niestety, tak.
- To fascynujące, poznać tylu ludzi i zobaczyć tyle wydarzeń... – postanowiłem pociągnąć temat, bo gdzieś wyczytałem, że wariat się uspokaja, jeżeli trochę mu poprzytakiwać do jego idée fixe.
- Niezbyt – mężczyzna skrzywił się kwaśno. – Patrzeć na świat, który przemija i coraz mniej go rozumieć?
- Proszę wyjść kiedyś na słoneczko – poradziłem, przypominając sobie książkę Brama Stokera.
- To by było samobójstwo! – Oburzył się mój gość. – Po takim czynie Bóg by mi nigdy nie wybaczył! Nie czytał pan Pisma?
- Ależ oczywiście, że czytałem! – Zapewniłem go nie tyle dla świętego spokoju, ile dla własnego bezpieczeństwa. W tym moim powalonym kraju, kraju, z

którego pochodził jeden z największych ludzi nauczający swoje owieczki tolerancji, ja – ateista – doświadczałem nietolerancji na każdym kroku, myśląc niejednokrotnie, że pontyfikat tego wielkiego człowieka poszedł na marne, bo ludzie nic nie zrozumieli z jego nauk.

– ... a tak mam szansę na odkupienie win, choć nie będzie to łatwe!

– Proszę zatrzymać swoją drogocenną błyskotkę – przesunąłem monetę w jego kierunku. – Zobaczę, co się da zrobić. Proszę tu poczekać.

To rzekłszy, udałem się na zaplecze i zacząłem grzebać w mojej czarnej, szmacianej i odrobinę znoszonej torbie. Wyciągnąłem kartonik, naciąłem nożyczkami róg. Pod stołem stało kilka starych butelek po kroplówkach.

Wybrałem najmniej zakurzoną, otworzyłem szufladę i wyciągnąłem samoprzylepną etykietkę z czerwonym paskiem na skos oraz dużą literą B z prawego boku. „KREW LUDZKA KONSERWOWANA” – głosiła etykietka, krzycząc dużymi literami. Wlałem do połowy myśląc też i o moim aperitifie, zakorkowałem gumę, nałożyłem aluminiowy kapsel i całość tej mojej mistyfikacji zawinałem w foliową reklamówkę. Popatrzyłem na efekt – na pierwszy rzut oka mój wieczorny sok pomidorowy z osiedlowego marketu przypominał trochę zleżałą porcję krwi... W każdym bądź razie temu biednemu szaleńcowi nie zaszkodzi! Z lekkim uśmieszkiem zadowolenia powróciłem do operacyjnej, gdzie w fotelu spoczywał mój niezwykle gość.

– Stare zapasy, przeterminowane i poza stanem..., ale jakoś utylizować to muszę. Nie miałem serca wylać – Zacząłem łąć jak z nut.

– Dziękuję panu – mężczyzna pochwycił butelkę owiniętą reklamówką. – Niekoniecznie ratuje mi pan życie, ale na pewno ulży mi pan w cierpieniu. Wyciągnąłem rękę, aby pomóc mu wstać. Ciężko było go ruszyć z miejsca, biedak musiał być naprawdę bardzo osłabiony, ale w końcu jakoś poszło.

– Nie ma, za co, czasem też bywam w potrzebie – odparłem uprzejmie doprowadzając gościa do drzwi. – Zdrowia życzę i dobranoc.

– Dobranoc – „wampir” skłonił się, przeszedł na drugą stronę ulicy. Po chwili straciłem go z oczu. Zadowolony ze spławienia cokolwiek ekscentrycznego gościa wróciłem do krzyżówki.

Dwanaście minut później drzwi wejściowe do banku otworzyły się z hukiem.

Dziwnym, rachitycznym krokiem, jakby na sztywnych nogach, wtoczył się do operacyjnej mój ulubiony szaleniec udający wampira. Jego sztywne kończyny odmawiały posłuszeństwa, arystokratyczną twarz wykrzywił grymas. Na widocznych częściach ciała coraz wyraźniej zarysowywały się spuchnięte żyłki czegoś, co wyglądało jak spękania w marmurze. Żyłki pulsowały własnym życiem, pojawiały się, to znikwały i znów pojawiały się, ale jakby ze zdwojoną siłą.

– ...to był sok pomidorowy...? – Wysyczał gość.

– Sprawdzę datę ważności, ale nie powinien panu zaszkodzić. Zresztą ja też już piłem...

– Pan nie jest wtajemniczonym!.... – Pod gościem ugięły się kolana i padł na klęczki. Żyłki na bladej skórze stawały się coraz grubsze. – Teraz Najwyższy mi wybaczy!... Zostałem otruty... pomidory zawierają srebro... zabójcze dla wampirów...

Padł na twarz wijąc się w konwulsjach. Dopadłem do nieszczęśnika mając nadzieję, że to tylko atak padaczki albo hipoglikemia, ale kiedy go odwróciłem, wiedziałem, że facet kona.

– Krzyż! – Wystękał, jego przekrwione białka oczu powoli zachodziły mgłą. Natychmiast wpadłem do chłodni tuż obok. Kiedyś miała tu być kostnica, ale Akademia Medyczna sprzedała budynek i powstał nasz bank. Chłodnia jednak została, a tam wisiał jedyny krzyż w całym banku. Zerwałem go natychmiast ze ściany i pogałem do operacyjnej. Położyłem konającemu na piersi.

– Dziękuję... – wyszeptał i stęzał. Jego ciało poszarzało i po chwili faktycznie przypominało stary kamień.

Stałem tak nad nim z rozdziawioną gębą, bo to raczej chyba nienormalne, aby przypadkowy facet wykitował na pierwszym, nocnym dyżurze i to jeszcze z winy soku pomidorowego. Nie wiedziałem, czy mam dzwonić po technicznego, po jakieś pogotowie, czy po „aniołki Charliego” spod numeru 997... i co ja powiem?

Gdy tak kombinowałem, co tu zrobić, wpadł mi do głowy jeszcze jeden, nedorzeczny pomysł. A jeżeli klient mówił prawdę? Targany najgorszymi przeczuciami wyszarpnąłem szufladę pod kontuarem, gdzie obsługa gromadziła latami różne, bardzo potrzebne i wysoce zbędne śmieci. Pamiętam, że gdy szukałem żyłki do zaostrenia ołówka zaciąłem się w palec kawałkiem rozbitego lustra.

Po chwili znalazłem kawał rozbitego zwierciadła. Ustawiłem je nad zwłokami i popatrzyłem w odbicie trupa. Moje najgorsze obawy znalazły potwierdzenie w rzeczywistości – trupa na posadzce nie było widać. Popatrzyłem na leżącego przede mną mężczyznę z krzyżykiem na piersi i jeszcze raz po patrzyłem w lustro. Krzyżyk był, lecz gdzie był nieboszczyk? Podniosłem krzyżyk i odniosłem do nieczynnej chłodni, aby odwiesić go na miejsce. Sięgając do zaczepu na ścianie kopnąłem butem coś metalowego. Śrubka, i to nierdzewna! Skąd to u licha...? Popatrzyłem do góry. Jedna z płyt podwieszonego sufitu była odsunięta. W mroku powstałej szczeliny majaczyła ludzka ręka. Miałem już dwa trupy. Odnalazł się Stach.

Wziąłem metalowy taboret i postanowiłem sprawdzić, czy aby się nie mylę.

Stojąc na stołku odkryłem dwie rzeczy – faktycznie odnalazłem mojego zmiennika, poza tym w palcach nieboszczyk miał duży, mosiężny żeton z uśmiechniętym słoneczkiem i napisem „one penny / dum tacet clamat”.

Schowałem ten żeton i postanowiłem ze Stachem poczekać do rana. Tylko, co można było zrobić z trupem z sali operacyjnej?

Rozwiązanie nasunęło mi się, gdy jeszcze stałem na taborecie i dokręcałem obluzowaną płytę. Obok wisiała lampa bakteriobójcza, emitująca światło,

którego spektrum do złudzenia przypominało intensywne światło słoneczne. Pół minuty później ciągnąłem już truchło wampira za nogi w kierunku chłodni. Ułożyłem pośrodku niedużej Sali i podbiegłem do włącznika lampy. Oby tylko zadziałała! Ufff! Była na chodzie! I jak myślicie? Co się stało? Nie było ani wybuchu, ani kuli ognia, ani skwierczących płomieni. Ciało zaczęło się kurczyć jak kostka cukru w gorącej herbacie, coraz bardziej się rozpuszczając w jasnej poświacie, aż w końcu zniknęło całkowicie. Bez dymu, bez ognia, bez smrodu spalenizny.

Rano, kiedy zjawił się personalny z nowym kandydatem do pracy na dziennej zmianie, gestem wezwałem go na stronę.

– Czy pan jest wtajemniczony? – Zapytałem zupełnie zaskoczonego dyrektora.

– A ty masz identyfikator? – Zapytał dyro. Po chwili patrzył zupełnie skołowany w tajemniczy żeton z uśmiechniętym słoneczkiem.

– Wystarczy? – Zapytałem.

– Widzę, że nic nie zostawili przypadkowi. Mogłeś mnie uprzedzić!

– Przepraszam! – Odparłem skruszony. – Nie było okazji.

– Oczywiście dostaniesz podwyżkę...

– Nie o tym chciałem rozmawiać – przerwałem tyradę dyra. – Zmiennik mi się znalazł. Wymownym gestem przejechałem palcem po gardle, następnie pokazałem górę.

– Gdzie?

– W chłodni.

– Do wieczora posprzątamy – zapewnił mnie dyrektor, po czym prawie po przyjacielsku klepnął mnie w ramię. – Idź do domu, prześpij się. Miałeś ciężką noc.

Nawet nie wiedział, jak bardzo.

Kiedy wstałem po południu, odbyłem szybki rajd po okolicy. W osiedlowym markecie kupiłem mój ulubiony sok pomidorowy, w sklepie sieci „jeden dolar” nabyłem za całe trzy złote damskie lusterko do makijażu, format dwadzieścia pięć na piętnaście, obrotowe na krótkich ośkach, a na koniec srebrny krzyżyk w księgarni Świętego Jacka. Wpadłem na chwilę do kościoła i unurzałem krzyżyk w chrzcielnicy wypełnionej święconą wodą. Następnie udałem się do mojego mistrza od szkła, pana Edzia. Ucieszył się na mój widok, lecz moje pytanie, z jakim go odwiedziłem, zdziwiło go absolutnie.

– Mam zwykłe lustro, w którym pewnych rzeczy nie można dostrzec – zacząłem niezręcznie rozmowę. – Chciałbym jednak dostrzec.

– Bawisz się teraz magią? Ja w twoim wieku uganiałem się za laskami...

– Kłopot mam w pracy i chciałbym go rozwiązać tą niekonwencjonalną metodą.

– Dobra – uśmiechnął się mój mistrz i gestem wskazał wewnątrz warsztatu. –

Chodź, pokażę ci różne lustra.

Poszliśmy. Z tyłu szlifierki do krawędzi stała wielka tafla zwykłego lustra.

– Stań naprzeciw – poprosił pan Edek. – Co widzisz?
– Jak to, co? Siebie! – Odparłem i moja odpowiedź była oczywista.
– No właśnie! – Pan Edzio nasunął okulary na nos. – To zwierciadło jest zwykłym lustrem srebrnym, jego tylna powłoka to głównie srebro z lekką domieszką manganu i sodu. Gdy w grę wchodzi taka ilość srebra, człowiek widzi tylko siebie. Poza tym srebro uchodzi za „czyste”, więc wchłania energię, niezależnie od tego, czy jest ona super dobra, czy arcy zła. Dlatego ani zła, ani anioła nie obejrzysz w takim lustrze.
– Ładnie! – Odpowiedziałem z półśmiechem wiedząc już, że nie jestem aniołem. Moje odbicie było widoczne.
– Ale istnieją jeszcze inne lustra – ciągnął wykład mój mistrz. – Grafitowe odbija świat na szaro, ale niestety, dzięki domieszce węgla, duchy widać w nim bardzo blado. Do twoich niecznych celów najlepsze będzie lustro złote, zwane też lustrem czarownicy.
– No ładnie! Teraz to już chyba awansowałem! – Zakrzyknąłem niemal radośnie idąc za szklarzem w głąb hali.
– Myśl sobie, jak chcesz – uśmiechnął się pan Edek stając przy złotej tafli. – To lustro w swojej warstwie obijającej zawiera tylko związki chromu, a dokładnie chromiany. To one nadają mu niepowtarzalny, złoty kolor. A dzięki temu, że nie zawiera srebra, wszystkie istoty nie z tego świata pozostawiają w nim swój ślad. Pamiętaj tylko: ich obraz w zwierciadle jest odbiciem ich rzeczywistego wyglądu, bo niejednokrotnie to, co widzisz, to narzucone przez nie złudzenie optyczne.
– Widziałem waszą nową ekspedientkę z punktu handlowego na Matejki – pozwoliłem sobie na żart. – Jej obcisła bluzka, to dopiero było złudzenie!
– Wiesz, co? – Mistrz szkła udawał prawdziwie oburzonego. – Ożeń się w końcu i nie truj mi dupy.
Nie trułem, co nie znaczy, że od razu poleciałem się ożenić. Poprosiłem o przycięcie formatki dwadzieścia pięć na piętnaście z odpadu złotej tafli. Nie było problemu. Potem, ku ucieście zaskoczonych znajomków, rozmontowałem damskie lusterko do makijażu, wyciągnąłem taflę srebrną, złożyłem plecami z taflą złotą i ponownie wprowadziłem materiał w prowadnice. Teraz miałem obrotowe lustro dwojakiego rodzaju: z jednej strony zwykłe srebrne, z drugiej złote lustro czarownicy. Podziękowałem i ruszyłem w drogę powrotną do domu.

O dwudziestej drugiej przejąłem dyżur od Pawła z popołudniówki. Gdy tylko drzwi zamknęły się za jego związłym „cześć”, rozpocząłem własne porządki. Na kontuarze tuż przy ścianie ustawiłem lusterko srebrną powierzchnią w kierunku drzwi. Krzyżyk położyłem obok klawiatury komputera tuż pod blatem tak, aby był w każdej chwili pod ręką. Do potężnej strzykawki wygrzebanej w domu nabrałem sporą ilość soku pomidorowego w nadziei, że nie sfermentuje mi do rana. I jeszcze tylko jedna rzecz – na szyi powiesiłem sobie rzemyk z

nietypowym wisiorkiem – mosiężnym pieniążkiem z uśmiechniętym słoneczkiem. Czekałem.

Pierwsza dwadzieścia wpadli „raptusie”. Jak po ogień! Kątem oka zobaczyłem, że obaj kurierzy mieli swoje odbicie w lustrze, więc dałem sobie spokój z moimi pozazawodowymi dociekaniem, bo czas nagiął. Tym razem zerówka, ale też w plusie. Pobrali, uścisnęli łapkę i pognali do potrzebującego. Nawet nie zdążyłem rozchodować surowca w kartotece, kiedy drzwi do banku otworzyły się i wszedł niewysoki wąsacz o bladej karnacji. Trzeba przyznać, że i ten był dobrze ubrany, więc od razu odruchowo spojrzałem w damskie lustro. Nikogo! Więc było ich więcej! Tymczasem mój nowy gość podszedł dystyngowanym krokiem do kontuaru, oparł się o niego nonszalancko i kiedy zobaczył mój medalik, obnażył wystające z uśmiechu kły.

– Miło pracować z kimś kompetentnym – rzucił na dzień dobry. A może dobry wieczór?

– Witam. Identyfikator proszę – odparłem urzędowo, aczkolwiek uprzejmie.

– Ha! Po uśmiechu nie widać?

– Procedury, pan wybaczy – rozłożyłem ręce nie wiedząc, czy uwierzy w moje zmyślane procedury.

Po chwili o blat brzęczał rzucony medalik, identyczny z moim uwiązany na rzemyku.

– Czym można służyć? – Zapytałem, ale przecież wiedziałem, że facet nie wpadł tu na kawę. W pewnym sensie, oczywiście.

– Woreczek A, może być AB. Koniecznie plus, po minusie mam zgagę – klient był wyraźnie zadowolony. Nie dziwota. Oto szykował się obiad.

Odwrociłem się, otworzyłem sejf i wybrałem woreczek z odpowiedniego gatunku i odczynu.

Po chwili położyłem woreczek obok klawiatury komputera i w momencie, kiedy wąsacz chował swój drogocenny żeton do skórzanego portfela, podłączyłem strzykawkę z sokiem do wentyla pojemnika. Wstrzyknąłem wszystko, po czym szybko potrząsałem woreczkiem. Mężczyzna wsunął portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki i popatrzył na mnie wyczekująco.

– Tak, aby nikt nie widział z zewnątrz – konfidentycznie mrugnąłem okiem. – Rozgłos nam niepotrzebny, a ludzka ciekawość jest wielka.

– Dobrze rozumiesz, młodzieńcze! – Warknął zaśliniony wampir z lubością wpatrując się w podany w pośpiechu spod lady woreczek krwi.

– Dobra, proszę sobie z tym usiąść w kącie, poza zasięgiem wzroku, a ja skoczę na chwilę do chłodni, chyba żarówka mi wysiadła – to rzekłszy, wyszedłem do chłodni. Sprawdziłem żarówkę z lampy bakteriobójczej i odczekałem w spokoju pięć minut. Kiedy powróciłem do sali operacyjnej, mój gość właśnie tężał, oczywiście konając. Czarne żyły pulsowały na jego dłoniach i twarzy, w końcu przestał się poruszać. Szybko położyłem krzyż od Świętego Jacka na jego zimnym czole i wyszeptałem patrząc w zachodzące mgłą, przekrwione oczy „Niech Bóg ci wybaczy”.

Tej nocy lampa bakteriobójcza pracowała jeszcze przez pół godziny.

Z biegiem czasu wciągałem moich gości w rozmowę, usypiając ich czujność. Numer dwudziesty czwarty okazał się na oko w moim wieku, więc nim go zabiłem, pożartowaliśmy trochę.

– Słuchaj – zagadałem. – Jak to jest z tym czosnkiem i wodą święconą?

– He, he, he! – Zaśmiał się blady gość, ukazując śnieżnobiałe kielki. – Tu cię zaskoczę! Woda święcona nas nie pali, jak to jest na tych lipnych filmach, po prostu ze względów higienicznych unikamy wody, w której ktoś inny macza palce. A woda święcona pobrana w kościele jest roztworem niesamowitych brudów pochodzących z rąk wiernych. Rzeszy wiernych!

– Moment, jak to higienicznych? – Zapytałem zdumiony.

– Dla ciebie wyglądam zawsze tak samo – facet pochylił się nad kontuarem i zniżył głos do szeptu. – Ale ja nie żyję i się rozkładam. Inaczej niż normalny trup, niemniej czuję to, to pali jak ogień. Nie mogę umrzeć, więc czuję ten smród, ten ogień... to, co ty widzisz, to złudzenie.

A brudna woda to dodatkowe bakterie do mojego rozkładu.

– A czosnek? – Rzuciłem krótko.

– Ja nie lubię – skrzywił się wampir. – Ale niektórzy go uwielbiają, na przykład Żydzi.

– Żydowski wampir? E, nabierasz mnie!

– A co ty myślisz? Mamy różne korzenie, choć wspólną przeszłość...

– Dobra – wskazałem mu fotel w kącie. – Siądź sobie tam, załatw, co potrzebujesz i oddaj worek. Będzie, że mi upadł, to jakoś to rozchoduję. Aha, palenie zabronione!

I rechocząc mu do wtóru poszedłem odpalić lampę w chłodni. To był numer dwadzieścia cztery.

Od numeru sto ósmego dowiedziałem się ciekawej rzeczy: całą tą hołotą krwiopijców rządził książę, o którym mój rozmówca powiedział kilka razy „centurion”. Zaiste, dziwny to przydomek dla księcia wampirów, ale muszę przyznać, że ich organizacja oraz profity, jakie z tego wyciągali, powoli zaczynały robić na mnie wrażenie. Do dyspozycji był nie tylko jeden bank, ale cała sieć! Istniała ona w wielu krajach – i oprócz pełnienia funkcji bufetu dla wiecznie podróżujących wampirów przynosiła konkretne, siedmiocyfrowe zyski. A ja pracowałem nadal, znajdując ukojenie w zabijaniu wolnego czasu zabijaniem wampirów i muszę przyznać, że porządny zastrzyk adrenaliny z tym związany był mi niezbędny do życia, jak innym skoki na bungee, wyścig motocyklowy czy wspinaczka wysokogórska. Ot, takie przyjemne hobby. Numer pięćset dwanaście wygadał się na temat mitu o zostawianiu wampirem. Nie była to prawda, nie można było ot tak zostać wampirem, choćby się go całego zjadło na surowo. Ciężyla na nich jakaś klątwa, tylko, dlaczego? Tego

już mi nie zdążył powiedzieć, bo zaczął chleptać swoją zaczarowaną porcję B plus. Po dziesięciu minutach lampa w chłodni znów pracowała pełną parą. Czasem techniczny się dziwił, że w zapotrzebowaniu biurowym pisałem czasami żarówkę do lampy bakteriobójczej. Tłumaczyłem, że chłodnia może się jeszcze kiedyś przydać, a póki, co, korzystam z niej jak ze zwykłego magazynu. Nie dodałem, że był to magazyn na martwe wampiry. I tak umykały mi miesiące pracy, z czasem i lata. Czwartego sezonu wzbogaciłem na tyle swoje wyposażenie, że byłem przygotowany na najgorsze, to znaczy na ewentualną wpadkę. Nie było z tym żartów, bo wampir to stworzenie odrobinę martwe, natomiast silne jak wściekły wół i bezwzględne jak świerzb jajek. Najgorsze nastąpiło szybciej niż myślałem, bo w dwa miesiące od wzbogacenia arsenału.

Po pierwsze, arsenał wzbogaciłem o modlitwę. Pomimo swojego braku wiary w cokolwiek, kilka razy już przekonałem się o potędze słowa, i nie chodzi mi tu o oklepany frazes „zwalam pana”. Chodziło mi o słowo żywe, słowo magiczne, a ponieważ moja wyobraźnia, co do modlitw magicznych ograniczała się do „zdrowaśki” i „ojcze nasz”, mój wybór padł na ten ostatni tekst. Zdobyłem go w kilkunastu językach świata, tak na wypadek, gdyby oporny krwiopijca nie najlepiej radził sobie z polszczyzną, więc był tam „Father unsern”, „Tatal nostru”, „Pater noster” i kilka innych wariantów. Aby nie tracić cennego czasu na oczekiwanie właściwego tekstu podczas ewentualnej konfrontacji, zgrałem to jako jeden plik ponakładany wielokrotnie na siebie. Powstała z tego niezła kakafonia, ale pewien byłem, że właściwy tekst przebiję się spośród innych, niezrozumiałych.

Drugą rzeczą, jaką wykombinowałem, to prymitywna broń miotająca. Ot, proste drewnko, tasiemka elastyczna i spinacz do bielizny jako mechanizm spustowy. Słodowy mógłby się za mnie wstydzić, ale jedno było najważniejsze – mój wynalazek działał. Próba ze śrutem wędkarskim i puszką po piwie wypadła imponująco, więc przystąpiłem do kombinowania odpowiedniego pocisku. Poświęciłem starą pół markówkę z czasów cesarza Wilhelma, ale musiałem – to było srebro wysokiej próby. Przerobiłem to w pół godziny na całą kolekcję srebrnych wiórów, które posklejałem spoiwem organicznym w nieduże kulki. Wyszło mi ich pięć, więc zakosiłem ze strychu jeszcze cztery żabki do bielizny i zmajstrowałem sobie mini arsenał. Teraz tylko mogłem zrobić dwie rzeczy, obie cierpliwie: wysłuchać narzekania sąsiadki na tych gówniarzy od zdiury spod dwójki, co to jej klamerki do bielizny pokradli i czekać, aż nadejdzie czas konfrontacji z jednym z klientów mojego nietypowego baru.

Dwudziestego ósmego grudnia, kiedy objąłem dyżur, krótko po jedenastej przyszedł on. Wysoki, o bladej twarzy, z orlim nosem i nienagannymi, białymi rękawiczkami do czarnego garnituru. Kiedyś być może był to szczyt elegancji, mnie się raczej kojarzył ze stangretem. Pokazał identyfikator, poprosił o pół litra konkretnego bukietu i cierpliwie czekał. Kiedy wyjąłem woreczek, wykonał

ruch, jakby go chciał delikatnie przejąć i wtedy śnieżnobiała rękawiczka poszybowała na wykładaną kafelkami posadzkę. Schylił się, ja w tym czasie szybkim, wytrenowanym ruchem dłoni podpiąłem strzykawkę z sokiem pomidorowym do woreczka i opróżniłem zawartość strzykawki w ułamku sekundy.

– Brawo! – Drzwi do korytarza z boku otworzyły się z impetem i ujrzałem dwie postacie, tak dobrze mi znane. Pierwszy do pokoju wtoczył się dyrektor techniczny, spętany jak baleron, bosy i z czarnym kneblem w gębie. Po chwili dopiero się zorientowałem, że facet został zakneblowany własnymi skarpetami. Drugim osobnikiem był dyrektor personalny, który popychał przed sobą nieszczęsnego miłośnika skarpet bijąc przy tym brawo pewnemu skromnemu pracownikowi działu obsługi. Mianowicie – mi.

– Miałeś rację, książę – personalny zbliżył się do wampira. – To w tym punkcie znikali wszyscy twoi towarzysze.

– Co z tego masz, mały człowieku? – Książę skierował się do mnie. – Tylko rychłą śmierć w perspektywie... Ilu zabiłeś?

– Sześćset dziewięćdziesiąt dwa wampiry – odparłem spokojnie, choć serce waliło mi jak młot parowy.

– Czyli ja jestem ostatni – uśmiechnął się tajemniczy arystokrata. – Przed nami długa noc! Najpierw ty, a nad ranem zajmę się tym przypadkowym safandulą. Z przerażeniem obserwowałem, jak wampir delikatnie muska palcem powierzchnię kontuaru i powolutku, nieśpiesznym krokiem nieuchronnie podąża ku końcowi blatu.

– Opowiedz mi o kłątwie, centurionie! – Rzuciłem śpiesznie, by zyskać na czasie.

– Ha! – Mężczyzna przystanął zaskoczony. Efekt został osiągnięty, zyskałem kilka chwil na przygotowanie się do ataku.

– W noc pojmania na wzgórzu Getsemani było nas dwie kohorty. Tylko dwóch wielkich centurionów z Judei na dwie kohorty. Wiesz, co to kohorta, ludzki ochłapie?

Pokręciłem głową na nie, choć doskonale wiedziałem, że centurion dowodził centurią. Setką żołnierzy.

– W czasach republiki kohorta rzeczywiście liczyła tysiąc najlepszych synów Rzymu, lecz w wyniku cięć związanych z powstaniem Cesarstwa, liczebność tą zmniejszono do 660 żołnierzy. Do tego sześciu setników. Razem 666 żołnierzy – oto liczba bestii. Oto tajemnica pisma! Kiedy oddział powstańców po złupieniu świątyni w Jeruszałaim schronił się wśród ruin na wzgórzu, otoczyliśmy górę potrójnym pierścieniem. Pojmaliśmy Jezusę, syna Judy z Gamalii, który mienił się królem ze szczepu dawidowego. Osądzony zgodnie z prawem rzymskim zawisł na krzyżu jak pospolity rzezimieszek – głową do góry, przybity za kończyny. Lecz kiedy konał, rzucił na nas przekleństwo – skoro skradaliśmy się w nocy łaknąć jego krwi, mieliśmy się skradać za krwią po

wieczność, aż Bóg nam wybaczy. Czy choć trochę zrozumiałeś, ludzkie ścierwo?

Skinąłem głową, bo przyznam, że jego opowieść, choć skrótowa, była fascynująca. Szkoda, że człowiek dowiaduje się takich rewelacji na kilka sekund przed bardzo prawdopodobną śmiercią, i to w męczarniach. Potrzebowałem jeszcze tylko malutkiego wybiegu, by uratować moją ścierwowatą dupę...

– A co z resztą legionistów, co z drugim, słynnym centurionem? – Udałem ciekawego i lekko się nachyliłem nad kontuarem.

– Draconusa znasz jako Draculę, władcę Walachii – ciągnął wampir, ale już bez widocznego uśmiechu. – Pochodził z północnej Tracji i miał sentyment do swojej ojczyzny. Zginął z rąk takiego ścierwa, jak ty, sto lat temu. A reszta legionistów? Też zginęła! Kiedyś polowania na wampiry były bardziej popularne, bo i ludzie w nas wierzyli. Teraz – na całe szczęście – niewielu. – W takim razie, skoro jesteś ostatni, mam dla ciebie dar – powiedziałem spokojnie i złapałem za górną krawędź obrotowego, damskiego lusterka. – Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najstraszliwszy w świecie!

Szarpnąłem delikatnie. Lustro obróciło się ukazując drugą połąć zwierciadła. Zwierciadła złotego, bez srebra pochłaniającego energię zła. Zwierciadła zdolnego odbić potworne odbicie bestii nocy. Wampir spojrzał w zwierciadło zaciekawiony i stanął zahipnotyzowany, bo po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat zobaczył swoją twarz, a była to twarz śmieci. Nie wiem, co było widać w odbiciu, nawet nie jestem ciekaw, ale widok był na tyle przejmujący, że zmroził nawet tak zimnokrwistą kreaturę jak nocny łowca. Korzystając z chwili, jaka została mi dana, stopą wcisnąłem wmontowany w linoleum pod biurkiem włącznik starego, pocziwego Kaprała, mojego pierwszego magnetofonu. Szczęściem dychał nawet po tylu latach, więc z głośnika ukrytego pod kontuarem popłynęły słowa modlitwy.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje...”

Nim jednak modlitwa doszła do słowa „któryś”, miałem już w prawym ręku mój prymitywny miotacz kapsulek ze srebrem. Wampir spojrzał na mnie wściekle znad zwierciadła szczerząc kły, lecz ja już nacisnąłem klamerkę od bielizny, ten prosty i niezawodny mechanizm spustowy. Z głośnym sykiem przyspieszona do ogromnej prędkości kulka opuściła opiekuńczą tasiemkę, by tuż przed osiągnięciem celu rozpaść się na dziesiątki ostrych, połyskujących wiórów. Potwór zawył raniony w twarz, po chwili ponowił swoją niewypowiedzianą skargę, gdyż drugi grad wiórów uderzył go na linii nosa. Z półtorej setki drobnych, głębokich ran poczęła się sączyć gnijąca ropa, znak nieomyślny o toczącej potwora gangrenie. Trzeci pocisk zmasakrował mojemu przeciwnikowi szyję, czwarty zabarwił tysiącem kropek koszulę. Na twarzy wampira pojawiły się doskonale mi znane marmurowe żyłki, skóra, a właściwie masa pod nią, pulsowała sobie tylko znanym, burzliwym rytmem. Miałem już w ręku krzyżyk od Świętego Jacka, gdy drogę zagroził mi drugi przeciwnik. Personalny

widząc, jak masakruję jego mentora, wyszarpnął zza paska nóż myśliwski i przeskoczył przez spętanego dyrektora technicznego.

– Chodź tu, bydlę głupie – sapał. – Skończę z tobą, to zabawię się z tym ciekawskim wieprzem!

– Nie sędzę – odparłem i uniosłem do góry dłoń ściskając ostatni miotacz. Błyskawicznie nacisnąłem klamerkę. Żadne stworzenie tego świata, czy to wampir, czy człowiek, czy nawet komornik, nie utrzyma się na nogach, gdy około osiemdziesięciu ostrych jak igły wiórów z dużą prędkością wbije mu się w oczy. Dyro padł na kolana.

– Moje oczy! – Złapał odruchowo rękami za twarz. – Kurwa, oślepiłeś mnie!

– To jeszcze nic z porównaniu z kręceniem wora, jakie ci zafunduję! –

Warknąłem i przywaliłem z prostego podbicia klęczącemu personalnemu w twarz. Ten z głuchym łomotem poleciał do tyłu, zwałił się ciężko na plecy i zaległ nieruchomo. Tymczasem ja przyskoczyłem do wijącego się w konwulsjach wampira. Położyłem mu krzyż na czole, ale ten machnął ręką tak potężnie, że poleciałem aż pod sejf. Pozbierałem się szybko, nabrałem rozpędu i z całej siły wbiłem nieduży, srebrny krzyżyk w jego pochłapaną koszulę.

– Pan ci wybaczył – wystękałem odsuwając się na czworaka od konającego monstrum. Wraz z ostatnim „amen” z odtwarzanej modlitwy wampir znieruchomiał.

Odczekałem kilka minut oparty plecami o ścianę, po czym zwlekłem się z podłogi. Kopnąłem zewłok, tak dla pewności. Wampir był martwy, i to bardzo dokładnie. Niestety, jak się okazało, dyrektor personalny też – mój kopniak w szczękę okazał się zbyt solidny, bo zawiasy żuchwy wbiłem mu aż do mózgu. Podniosłem upuszczony przez niego w chwili trafienia nóż i poprzecinałem wszystkie więzy krępujące mojego przełożonego. Przyjemność usuwania skarpetek zostawiłem jednak jemu.

– Dzięki, sprytny jesteś – wysapał techniczny. – Co to, do cholery, było?

Podszedł do leżącego, martwego potwora.

– Uwaga, może ugryźć! – Zażartowałem, ale poskutkowało. Dyrek się wystraszył i zawrócił.

– Trzeba by kogoś powiadomić...

– Proszę nic nie mówić, nic pan nie widział i jeśli chce pan mieć nadal robotę, to proszę nic nikomu nie mówić. A żonie najlepiej powiedzieć, że ma pan romans z sąsiadką i to ona tak pana poturbowała...

– Z Hilową? – Zdumiał się coraz bardziej zaskoczony dyrektor. – Ona ma osiemdziesiąt lat!

– Coś pan wymyśli! – Złapałem ciało wampira za nogę. – Proszę mi pomóc, złapać go za drugą nogę. Ciągniemy go do chłodni.

Tej nocy lampa bakteriobójcza w chłodni pracowała po raz ostatni. Nigdy już tego światła nie zapalałem. Dyrektor był coraz bardziej zdziwiony moją znajomością tematu, więc pokrótce streściłem mu ostatnie cztery i pół roku,

wszystko od czasu zniknięcia Stacha. Powróciliśmy do operacyjnej, gdzie na kafelkach leżał martwy personalny z województwa.

– Co zrobimy z nim? – Zapytał techniczny.

– Pojęcia nie mam! – Westchnąłem. – Sprawa byłaby dużo prostsza, gdyby gość był jednym z nich.

– Ale nie jest – odparł przełożony. – Kolaborant cholerny!

– Jedno mnie tylko zastanawia – usiadłem na podłodze obok trupa. – Dlaczego ON wybrał do tego zadania właśnie mnie? Przecież ja nawet do kościoła nie chodzę! Co ja mówię – komunii nawet nie mam! A ON mi zaufał...?

– Myślę, że ON wiedział, co robi – dyro położył mi ciężkie łapsko na ramieniu.

– „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebios, błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”.*

– Jest w tym coś, jakaś głębsza myśl! – Wstałem z podłogi wiedząc, że my tu sobie gadu-gadu nad nieboszczykiem, a w każdej chwili może wpaść jakiś kurier. I co ja mu powiem? Że dawca przyszedł osobiście, tylko trochę się wykrwawił?

Nie namyślałem się długo: przeszukałem kieszenie zabitego, wyciągnąłem jego komórkę i po trzech minutach poszukiwań wybrałem odpowiedni numer.

– Bank Krwi z Brzozowej. Dzwonię z polecenia księcia. Tak – Udawałem głupa, ale co mi pozostało. – Współpracownik księcia zdradził, chciał całą historię sprzedać do prasy. Trzeba posprzątać i to szybko. Czekam!

Dyrektor techniczny stał osłupiały.

– Nieźle to wykombinowałeś – rzekł z uznaniem. – Ciało uprzątną, nikt o niczym się nie dowie, a firma dalej będzie funkcjonować. Chyba zasłużyłeś na premię kwartalną!

– To było jedyne wyjście – wyjaśniłem. – Policja węszyłaby do upadłego, a i tak nikt by nie uwierzył w historyjkę o dwóch kohortach honorowych biorców krwi.

– A co z wampirami?

– Ten był ostatni – wskazałem na chłodnię. – Poza tym dla większego bezpieczeństwa byli w ciągłej podróży, przemieszczali się z miejsca na miejsce, aby nie wzbudzać podejrzeń.

– Dziękuję – dyro uściskał mi rękę. – Dziękuję za ocalenie mi dupy.

– Polecam się na przyszłość – uśmiechnąłem się blado. – Wampirów już nie ma, może teraz się przerzucę na wilkołaki?

O trzeciej wpadli „raptusie”. W wypucowanej na błysk operacyjnej mogłem pozwolić sobie na uraczenie moich ulubionych gości pięcioma litrami B Rh+. Nie żałowałem im. W końcu oni ratowali życie, co wieczór, ja tylko od święta.

* * *

Z dedykacją dla wszystkich kierowców dowożących krew do nagłych przypadków.

* Mateusz 5,3 oraz 5,8

*Wampiry chwilowo odeszły w niepamięć
i nie jestem przekonany, czy prędko o nich usłyszymy.*

*Drugim i równie ważnym elementem literatury
fantastycznej są fantastyczne przedmioty,
lub, jak kto woli, magiczne artefakty.*

*Nie mogą być one zbyt nowoczesne,
bo czy ktoś wyobraża sobie magiczny krąg
z folii polietylenowej, gumowe amulety
i plastikową różdżkę?*

*No właśnie, różdżka musi być klasyczna,
drewniana i co najważniejsze – ożywiona.*

A potem niech się dzieje, co chce...

CZARAMI I RÓŻDŻKĄ

Talizman

Wysiadłem z windy na najwyższym piętrze drapacza chmur. Minąłem wejście do kawiarenki i skierowałem się na taras, o tej porze dnia jeszcze pusty. Pomimo letnich – wszak lato się dopiero kończyło – promieni słońca, na tarasie panował niemiłosierny ziąb. Wiatr nie pozwalał mi zapomnieć, że jestem oto wśród chmur, w najlepszym punkcie widokowym całego miasta, skąd widać nie tylko przedmieścia, ale i całą zatokę.

Tak, jak umówiliśmy się przez telefon. Dokładnie! Czekał na mnie przy olbrzymiej lornecie widokowej na monety.

- Spóźniłeś się – zauważył opierając się o statyw przyrządu.

Spojrzałem wymownie na zegarek.

- Mój chodź dobrze, to ty byłeś wcześniej – rzuciłem obnażając zęby w uśmiechu. – Trzeba było korzystać z uroków widoku dookoła.

Jego czarny płaszcz przez chwilę powiewał na wietrze. Kiedy podmuch ustał, przyglądał siwiejące już włosy i pieszczotliwie poklepał korpus lornety.

- Korzystałem – odparł. – Moja śliczna, aczkolwiek odrobinę odrapana przyjaciółka zeżarła mi wszystkie kwodry.

Pokiwałem z politowaniem głową.

- Masz klucz do największego skarbcza we wszechświecie i skąpisz kilku ćwiartek?

- Kto wie, co potrafi ta fujarka? – Zażartował mój rozmówca obnażając żółtawe od tytoniowego dymu zęby.

Podszedł do mnie i bez słowa wyciągnął rękę po przedmiot. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni mojej skórzanej kurtki i wyciągnąłem podłużne zawiniątko wielkości sporego pióra na atrament. Delikatnie, niemalże z namaszczeniem, ułożył to coś na dłoni i rozbroił z miniaturowego całunu.

Wewnątrz jedwabnej chusteczki był przedmiot przypominający fujarkę, zabarwiony na ciemny orzech patyk o długości około ośmiu cali, cały pokryty dziwaczными nacięciami układającymi się w tajemnicze symbole. Dopiero po dokładniejszych oględzinach można było zauważyć, że przedmiot był w środku wydrążony. Wewnątrz skrywał ciasno skręcone, brązowe włókna.

- Czy udało ci się cokolwiek na jego temat dowiedzieć? – Zapytał zafascynowany widokiem.

- Tak – przytaknąłem. - Choć to zapewne niewiele... Wykonany z drewna. Wewnątrz jest tkanina nasączona krwią.

Woń tytoniu stał się silniejsza. Człowiek z talizmanem w ręku zbliżył się do mnie na, tyle, że mogłem się przejrzeć w szklach jego okularów.

- Wiesz, co miałeś w rękach?

- Talizman – odparłem postanawiając nie ujawniać całej odkrytej prawdy.

Człowiek w okularach uśmiechnął się chytrze.

- Całe młode pokolenie! – Skonstatował. – Chłoniecie wiedzę po łebkach, dlatego jeszcze długo świat będzie należał do pokolenia starych wyjadaczy! To mityczny Kaduceusz!

Udałem zaskoczonego, choć tak wcale nie było. Wiedziałem, że przedmiot, choć wykonany z gałęzi jabłoni, już w czasach, kiedy to greccy bogowie gonili się wokół Olimpu ciskając piorunami, mógł uchodzić za antyczny.

- Dość pochopna interpretacja... Kilka szczegółów się nie zgadza – zauważyłem.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się zgadza! – Człowiek w płaszczu pochwycił przedmiot prawą ręką i zatoczył nim koło.

- Hej, ostrożnie! Machasz tym jak siekierą! Chcesz zgubić nas obu? – Puknąłem się wymownie w czoło. – Wiesz, co będzie, jak niebo runie nam na głowy? Wtedy świat będzie należał do osesków!

Okularnik opanował się trochę.

- Żartowałem – przyznałem z uśmiechem. – Machanie nim jest o tyle bezpieczne, co bezcelowe. Tylko nie wypowiadaj teraz żadnych życzeń!

- Dżentelmen ujawnia swoją chciwość w samotności – syknął spode łba mój rozmówca i ponownie położył tajemniczy przedmiot na jedwabiu. – To, że nie ma on skrzydełek i nie oplatają go węże, nie umniejsza jego mocy. Zresztą spójrz: pod światło, symbole wyryte na nim wiją się jak dwa walczące ze sobą węże.

- Poza tym fruwa z rąk do rąk, jakby miał skrzydła – przyznałem rozbawiony interpretacją.

Niestety, moja riposta go nie rozbawiła. Z wiekiem traci się chyba poczucie humoru.

- To ostatnia na świecie czarnoksiężska różdżka, przedłużenie ręki czarnoksiężnika i symbol spełnienia jego woli. W mitologii utożsamiana z kaduceuszem, laską Hermesa, posłańca bogów...

- I tu trafiłeś prawie w samo sedno – przyznałem. – Pierwszy raz, kiedy udało mi się ten cudowny kijaszek umiejscowić w historii, to pasmo podbojów Aleksandra Wielkiego.

- Godna podziwu spostrzegawczość! – Zauważył. – Ale Aleksandroz Megaloz w końcu przegrał!

Wzruszyłem ramionami i oparłem się o barierkę.

- Głupia sprawa, ale mając coraz więcej, przestał zwracać uwagę na szczegóły. Widzisz, kiedy chce się za dużo, moc talizmanu obraca się przeciwko użytkownikowi. To tak jak z kontem w banku – możesz z niego czerpać, ale kiedy osiągniesz pułap swoich możliwości, bank cię zacznie ścigać. Podbił pół świata, lecz Indie, to już było za dużo.

Tym razem mój dowcip został doceniony.

- Co dalej?

Włożyłem ręce w kieszenie mojej kurtki.

- Trafia w ręce Kaniszki, władcy Kuszanów. Seria zwycięstw, bogactwo i takie tam różne sprawy związane. Jednak w krótkim czasie talizman powrócił do Europy.

- Ciekawe...

- Juliusz Cezar też się nim nie nacieszył. Zwycięstwa, zaszczyty, władza... Chciwy, jak na Rzymianina, prawda? Później przejął go Calpurniusz Thalna, wysoki rangą, rzymski urzędnik skarbowy. Twój święty patyk wylądował w skarbcu cesarskim i tylko nieliczni korzystali z jego mocy. Może, dlatego, że nielicznym udało się zgłębić jego sekret.

Stojący obok przysiadł na marmurowym schodku i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Chcesz mi powiedzieć, że nikt nie miał pojęcia, co leży w skarbcu?

- A kogo obchodziła szczapka drewna, kiedy obok wałało się po posadzce kilka ton złota i rubinów? – Zapytałem bez specjalnego zdziwienia. – Ale raz na jakiś czas talizman „przemawiał” do niczego nieświadomego właściciela. Kiedyś jednemu z cesarzy przyśniła się tarcza z charakterystycznym emblematem unosząca się w niebo. Tajemniczy głos oznajmił mu, że pod tym znakiem zwycięży. Uwierzył i zwyciężył, a ożywiony talizman był zawsze z nim. Osiągnął wiele i był chyba jednym z nielicznych, któremu udało się nie przekroczyć „limitu”.

- Flavius Valerius Constantinus – zauważył przewracając strony w niebieskiej książeczce o wybitnie długich kartkach. – Ale jego synowie wyróżnili się nawzajem.

- Tego mi się nie udało ustalić, czy Konstantyn numer dwa i Konstans sami ulegli Konstancjuszowi, czy też może we wszystkim był umoczone ten cudowny patyk. Dość, że było, jak powiedziałeś. Jeszcze jedno zero, proszę! – Rzuciłem.

Człowiek w okularach uśmiechnął się i dopisał zero na końcu.

- Nic nie umknie twojej uwadze! – Mruknął. – Pasjonująca historia, gdybym był pisarzem napisałbym na ten temat powieść.

Wzruszyłem ramionami i wyciągnąłem rękę po wyrwany z książeczki czek.

- Lubię takie chwile – dodałem. – Dla takich momentów człowiek żyje.

Niebieska kartka pełna cyferek zmieniła właściciela. Z lekkim niedowierzaniem wpatrywałem się w mój wybitnie efektowny fundusz emerytalny.

- Okrągłutki milion, przyjacielu – przyznał człowiek w płaszczu ubawiony sytuacją.

Mnie jednak nie dziwiło nic – dla niego, posiadacza ogromnego majątku, były to tylko zera z jedyneką, dla mnie fortuna. Takiej kasy w życiu nie widziałem.

- Powiedz, skorzystałeś, choć z tego klucza do skarbcu?

Jego pytanie wydało mi się, co najmniej nie na miejscu, ale postanowiłem odpowiedzieć prawie szczerze. Teraz miałem milion dolarów.

- Raz – skłamałem.

- Czego chciałeś? – Dociekał.

- Niby drobnostka, ale cieszy. Car Mikołaj kazał wybić dla swoich pociech specjalną monetę o nominale siedem i pół imperiała, po jednej na głowę. Nigdy ich nie dał. Nastąpiła rewolucja, rodzina zginęła, monety zniknęły.

Mężczyzna wstał i popatrzył na strzelające w niebo drapacze chmur, tuż obok naszego. Wszystkie dookoła były niższe. Patrzył na nie, niczym władca na poddanych. Nie musiał wiedzieć, że moim drugim i ostatnim życzeniem było znalezienie chciwego kupca na ten niezwykle artefakt.

- No i pewnie przypadkiem je odnalazłeś... te monety. Można wiedzieć, jak?

- Wypowiedziałem życzenie trzymając talizman w prawej ręce. Nagle drgnął, jakby był żywy, zrobił się gorący i wypadł mi z ręki. Upadając stłukł kafelkę w posadzce. Kłamię jak szewc na moją łatwowierność w cuda, dopóki nie postanowiłem wymienić uszkodzonego elementu...

Mój rozmówca sięgnął po papierosa. Błysnął płomień zapalniczki.

- Niech zgadnę: były pod podłogą.

- Zgadłeś – przyznałem rozkładając ręce.

Zaciągnął się głęboko dymem. Opierając się barierkę, wskazał na dół.

- To miasto mnie dobija. Nawet rankiem sprawia wrażenie sztucznego tworu wcisniętego na siłę w łono przyrody. Chciało ci się marnować życzenie dla kawałka złota?

Spojrzałem na przesuwające się sennie żółte punkciki w sznurkach samochodów. Taksówki dowożące urzędasów do city.

- Są bezcenne – zapewniłem. – To jedyne egzemplarze na świecie.

- Ech, kolekcjonerzy! – Westchnął. – Banda zboczeńców i tyle. Kto był po Konstantynie?

Chętnie powróciłem do tematu, gdyż historia wydawała mi się zawsze nauką fascynującą, ale także i pouczającą.

- Atylla zawłókł ródzkę do Afryki północnej. Potem przejęli ją arabowie, choć niezbyt długo pozostała ona we władaniu kalifów. Starczyło na, tyle, aby zbudować imperium, potem przyszło im płacić cenę za chciwość. Około roku 1040 ówczesny właściciel rozgromił siły Karachanidów, Karakitanów i kilka pomniejszych armii Azji środkowej i zapewnił arabskie panowanie na tych ziemiach na kolejne osiem wieków. Potem ślad talizmanu się urywa.

Popiół strzepnięty z papierosa poszybował na wietrze ponad dachami niższych budynków.

- Kto był kolejnym, sławnym i zapewne szczęśliwym posiadaczem? – Zapytał. Westchnąłem, bo sytuacja powoli zaczynała mnie już nudzić. Tym bardziej, że chętnie bym się już udał podjąć pieniądze.

- Napoleonowi służył długo i o dziwo, dobrze, choć zdrajca zaniósł go wprost do rąk Aleksandra w przeddzień najważniejszej bitwy. Car użył go tylko raz. Przerażony potęgą Kaduceusza, zamarkował własną śmierć podczas jazdy konnej i ruszył w przebraniu mnicha – pokutnika na Syberię. Tam ukrył talizman strzegąc jego tajemnicy do ostatnich dni. Przypadkiem odkrył go młody, carski oficer o pruskim rodowodzie, baron Ungern. Podczas, gdy Europa

pograżała się w chaosie wojny, później zaś Wersalu, on zebrał potężną armię sobie podobnych renegatów i usiłował zbudować w samym sercu azjatyckiego kontynentu potężne imperium.

- Dogadał się z Leninem? – Zapytał człowiek w płaszczu wyraźnie zafascynowany burzliwymi dziejami talizmanu.

Zaprzeczyłem

- Został ostatnim wielkim chanem Mongolii. Popierali go wszyscy, nawet Bogdo-Gagen, żywy bóg – wyjaśniłem.

- To chyba jakiś posążek?

- Nie – pokręciłem głową. – Odpowiednik katolickiego papieża.

- Wszystko jasne! – Skwitował mój rozmówca.

Niedopałek poszybował w dół, równoległe do elewacji budynku.

- Pamiątki po krwawym baronie Mołotow przekazał Ribentropowi podczas kurtuazyjnej wizyty w Berlinie. Potem już wiesz: Hitler, którego manią było zainteresowanie wszystkimi magicznymi przedmiotami, pasmo zwycięstw, klęska i Bormann, który ukradł Kaduceusza i zbiegł z bunkra tuż przed wkroczeniem Rosjan.

Odruchowo poprawiłem zamek mojej skórzanej kurtki. Wiało i to niezbyt przyjemnie. Zbyt długo już staliśmy na tym wygwizdowie.

- Bormann zginął – przypomniał okularnik.

- Od amerykańskiej bomby – przypomniałem. – Jego szczątki spoczywały ponad trzydzieści lat pod gruzami wraz z talizmanem. Niedawno pamiątki po Bormannie kupił na aukcji zaprzyjaźniony kolekcjoner, z zamiłowania nazista. Nie umiał tylko przyporządkować tej rzeźbionej fujarki, więc wymienił ją z innym kolekcjonerem.

- Z tobą? – Pytanie było raczej z gatunku retorycznych.

- Dałem próbną dwumarkówkę z Adolfem, rocznik 1942! – Westchnąłem. – Rarytas!

Pokręcił głową z politowaniem i roześmiał się serdecznie.

- Nigdy nie zrozumiem was, kolekcjonerów – przyznał z rozbrajającą szczerością.

- Poczytaj Schopenhauera, on ci wszystko wyjaśni – dodałem złośliwie. – Zrobiło się zimno, chyba czas ogrzać się blaskiem pieniędzy.

- Pozwolisz, że przedłużę sobie tę piękną chwilę. Mam kilka pobożnych życzeń do spełnienia.

- Pamiętaj o limicie dóbr uzyskanych z życzeń, kiedy go przekroczysz, czeka cię efektowny upadek. Talizman upomni się o spłatę zaciągniętego kredytu.

Podąłem mu rękę na pożegnanie i wszedłem w mroczną czeluść wejścia do budynku. Przez cały czas zastanawiałem się nad słusznością własnego twierdzenia, że każdy ma przecież indywidualny limit. W windzie moje myśli powróciły jednak do okrągłej sumy, którą zamierzałem podjąć w ciągu najbliższych piętnastu minut. Mając tak piękną perspektywę zaklinałem światełka na panelu kontrolnym, aby migały coraz szybciej. Czas jednak włókł

się nieubłaganie. Wreszcie światelka zaczęły pokazywać liczby jednocyfrowe. Pięć, cztery, dwa, jeden... Nagle windą coś potężnie szarpnęło. Dźwig się zatrzymał. Krzyki, tupot setek nóg. Zacząłem łomotać w drzwi windy, lewą ręką wciskając energicznie przycisk alarmowy.

- W dziesiątce chyba ktoś jest! Scott, weź toporek!

Z oddali dobiegało przeciągłe wycie syren. Pomiędzy stalowymi drzwiami ukazała się kilkucentymetrowa szczelina, w której zagościł szpic toporka z zestawu przeciwpożarowego. Drzwi ustąpiły.

- Jest pan tu sam? – Zapytał rosły murzyn w mundurze ochrony. W ręku dzierżył stalowe narzędzie.

- O tej porze chyba nikt nie zjeżdża na dół – odparłem z uśmiechem przyjmując pomocną dłoń. Wspiąłem się na poziom podłogi pierwszego piętra. – Co się stało?

- W wieżę uderzył samolot. Kilka najwyższych pięter jest całkowicie odciętych.

- Jak to „odciętych”? – Zdziwiłem się. – Z powodu jednej awionetki?

- Człowieku, to był potężny pasażer z pełnymi zbiornikami! Istne piekło! – Zaczął strażnik, lecz głos z walkie-talkie przerwał mu opowiadanie.

„Scotty, co ty tam do cholery robisz? Leć na trzecie, w ósemce są uwięzieni ludzie!”

- Roger! – Murzyn machnął toporem wskazując drzwi z wielkim napisem „wyjście ewakuacyjne”. – Po schodkach w dół. Proszę natychmiast opuścić budynek.

- Dziękuję. Za ratunek. Powodzenia – rzuciłem do strażnika i pchnąłem drzwi na klatkę schodową.

Zbiegłem błyskawicznie po schodach i wypadłem wprost na recepcję. Tam minąłem kilkunastu strażaków pędzących ku windom. Stojący przy drzwiach gliniarz ponaglił mnie:

- Szybciej, proszę natychmiast opuścić budynek i oddalić się od strefy zagrożenia!

Popędzany przez różnych funkcjonariuszy włączyłem się w ludzki potok, który wylewał się przez oszklone wejście główne. Na zewnątrz zastał mnie ranek nowojorskiej ulicy przyozdobiony ostrym, wrześniejszym słońcem. Kiedy tylko moje oczy przywykły do naturalnego światła, zacząłem zauważać istotne zmiany w krajobrazie – dziesiątki mniejszych i większych kawałków gruzu, setki postrzępionych blach i blaszek i tysiące kawałków hartowanego szkła. Przebiegłem ulicę na skos i wpadłem w przecznicę. Mijając dziesiątki gapiów, prawdziwych hien żadnych widoku ludzkiej tragedii, dobiegłem do baru serwującego fast-foody. Zamówiłem hot-doga i kawę. Nie wiem, ile przesiedziałem przy zimnej kawie okupując stolik tuż przy witrynie, ale miałem doskonały widok: widziałem pożar najwyższych pięter, widziałem drugi samolot uderzający w bliźniaczą wieżę, widziałem miniaturowe figurki spadające z wciąż płonącego wieżowca. Zerwałem się dopiero, kiedy antena na dachu wieży numer jeden zapadła się w chmurze dymu.

Przewracając krzesło dopadłem do drzwi i wybiegłem na ulicę. Złapałem wpół stojącą na chodniku młodą kobietę i zacząłem wciągać do wnętrza baru.

- Właż! – Wrzeszczałem. – Życie ci nie miłe?!

- Puść mnie! Ty kretynie, ty zboczeńcu, ty fajfusie! – Dziewczyna złapała się futryny drzwi, ale byłem silniejszy. Upadliśmy oboje na podłogę w momencie, gdy samozamykacz zamknął wahadłowe drzwi. Sekundę później przez ulicę przetoczył się gigantyczny, szary tuman gruzu, pyłu i kurzu porywając wszystko, co napotkał na drodze. Szczęśliwie, fala uderzeniowa spowodowana zawaleniem się wieży nie uszkodziła witryny naszego schronienia.

- Stary, jesteś bohaterem! – Ryknął do mnie metys w czerwonym fartuszk. – Nic wam nie jest?

Dopadł do nas i pomógł wstać oszołomionej dziewczynie.

- Mój Boże! – Spojrzała na wciąż sunącą ciemną chmurę tuż za szybą. – O mój Boże, uratowałeś mnie!

- Należy się buziak – mruknąłem siadając na podłodze baru. – Ej, co się tak gapisz? Cola dla mnie i dla pani!

Ciemnoskóry kelner powrócił ze śmiechem za kontuar.

Pół godziny później w banku nieopodał podjąłem pieniądze. Bez skrupułów, bez ryzyka, bez jakiegoś nadprzyrodzonego limitu. Za to z satysfakcją.

Nigdy już nie usłyszałem o Kaduceuszu, tajemniczym talizmanie, czarnoksięskiej różdżce wykonanej z gałęzi jabłoni. Tej jedynej, szczególnej jabłoni, rosnącej w Jego ogrodzie. To, dlatego ten niepozorny przedmiot dysponował tak wielką mocą. Mocą tworzenia i zniszczenia.

Bo ożywiała go krew, która była krwią pierwszego człowieka. Krew z krwi Boga.

Nigdy też nie usłyszałem o ostatnim użytkowniku różdżki, który nie wiedział, że to właśnie chciwość jest grzechem pierworodnym.

*Mamy bohatera, mamy artefakty, zajmiemy się teraz
tak zwanym tłem. Zamki, warownie i kamienne kręgi
wzniesione przez starożytnych są jak
najbardziej pożądane.*

*Cóż wart jest jednak jeden nadprzyrodzony głupol
z kieszeniami zwisającymi od ciężaru magicznych
przedmiotów w pustym świecie?*

*Do tego niezbędna jest fauna naszego
fantastycznego świata,
co jestem w stanie udowodnić.*

CZARAMI I ELIKSIREM

Jak poszukiwałem najbardziej niezwykłego stworzenia w Chorasanie Część I: Fauna.

Dostałem zlecenie, które potraktowałem jako punkt honoru: odnaleźć najbardziej niezwykle stworzenie w Chorasanie. Inni adepci sztuk magicznych rozpełzli się jak robactwo po wzgórzach i krzakach opasujących naszą krainę, ja natomiast udałem się do centrum miasta. Zapytacie pewnie, dlaczego? A tak sobie, z lenistwa. Po co mam odkrywać dawno odkryte? Wystarczy spytać u źródła... Szkoda tylko, że magiczna kula nie wchodziła w rachubę, bo sieć czasoprzestrzenna to prawdziwa skarbnica wiedzy, ale tylko sprawdzonej. Natomiast przyroda Chorasanu była jeszcze niesklasyfikowana, choć bogato opisywana w literaturze ezoterycznej.

Dochodziłem już do ciemnej bramy starej kamienicy czynszowej niedaleko dworca głównego ChLD (Chorasańskie Loty Dywanami – przyp. red.), gdy nagle usłyszałem za sobą skrzek:

- Wesprzyj biedaka, szlachetny panie.

Już się zamachnąłem moim służbowym kosturem, gdy kątem oka spostrzegłem, że pytający był o trzy głowy wyższy ode mnie. Odwróciłem się i zdębiałem.

Przedemną stał smok, ale w tym nie było nic nadzwyczajnego, natomiast ten wyróżniał się tym, że był mikrej postury, miał szaro-ziemistą cerę i w ogóle był jakiś taki... wyskubany i nastroszony. Hmmmm. Chyba mi brakło słów....

- Szlachetny panie, mistrzuniu o wielki – ciągnął smok. – Poratuj trojakiem na łyczek „napalmu”...

W życiu nie widziałem takiego smoczego mizeraka, toteż rozbawiony sytuacją postanowiłem udawać zafrasowanego.

- Taaak? A cóż to trapi twoje błoniaste skrzydła, przyjacielu? – Postarałem się nawet o uśmiech.

- Ach, panie czarowny, mistrzuniu mój jedyny! – Biadolił smok. – W gardle susza, a jak susza, to nijak ogniem ziać nie można!

- I to jest takie straszne?

- Och, panie czarodziejski, dla smoka to prawdziwa tragedia! – Smok stał przede mną przygarbiony i co chwile nieśmiało drapał się – rzekłbym – po jajkach.

- Rozumiem – ciągnąłem dalej rozbawiony, – że butelka „Napalm Beer” poprawiłaby ci humor?

- Ależ mistrzu! – Podskoczył smok. – Twoja hojność będzie wychwalana aż po wieczór!

Pomyślałem, że chyba był w tym palec Opatrzności, bo pół pacierza przed przybyciem pod kamienicę znalazłem na ulicy srebrnego grennara.

- Naści całego grennara! Starczy na cztery butelki! – Smok pochwycił zręcznie niedużą monetę i bijąc pokłony pognął do osiedlowego marketu sieci „Trylobit”.

- Dzięki ci, o czarowny, panie, mistrzuniu! – Dobiegło mnie z oddali. Po zadziwiająco wyraźnym efekcie Dopplera, byłem pewien, że smok gnał do sklepu ze wszystkich znanych (i nieznanach) sobie tylko sił. Z uśmiechem wstąpiłem w przytulny mrok bramy, by po dwóch piętrach zmagać ze stromymi, sekwojowymi schodami stanąć pod drzwiami z wyraźną wizytówką:

E. LIKSIR

profesor egzobiologii i paleontologii
autorytet zjawisk paranienormalnych

Zastukałem kołatką w kształcie kwiatu paproci, by po chwili ścisnąć rękę pulchniutkiego, starszego człowieczka z rozwianą siwą grzywą.

- Profesorze – wymownie spojrzałem na jego sterczące włosy. – Wybuch w laboratorium?

- Neeee... – uśmiechnął się naukowiec. – Golarka mi wpadła do umywalki i odruchowo chciałem ją wyciągnąć.

- Wstrząsające przeżycie, prawda? – Mrugnąłem okiem i zrzuciłem trzewiki. Weszliśmy do pokoju, albo czegoś, co powinno być pokojem. Zresztą całe mieszkanie profesora od dwudziestu lat było zavalone próbkami, preparatami i innego tego typu truchłami, więc nawet stara Strzyga Mabel, która była u profesora gosposią, nie ruszała niczego, co leżało na talerzu w kuchni. Doskonale ją rozumiałem – zbyt łatwo było się pomylić.

- Co cię sprowadza w okresie letniej kanikuły, chłopcze? – Profesor ciężko klapnął w nadpruty zębem czasu fotel. Cóż było robić, klapnąłem bez zaproszenia i ja.

- Mistrz zadał zadanie: znaleźć najdziwniejsze stworzenie Chorasanu.

- He, osobliwe! – Roześmiał się profesor. – Wszystkie są na swój sposób osobliwe. Obojętne chyba, czy opiszesz Powój McConrada, roślinę mięsożerną, która jest w stanie przetrwać dorosłego jednorożca, czy Zwidka Pospolitego, jaszczurkę – telepatę, czy Smoka Sylfijskiego...

- Smoka Syfo... co?

- Smok Sylfijski, albo, jak kto woli, Smok Niemy – uczony był w swoim żywiole. – Jest dużo mniejszy od pozostałych gatunków, ma barwę szarą, dzięki temu prawie niewidoczna jest jego łuska. Inne smoki mówią o nich „nasi mniejsi bracia”. Nie są zbyt rozmowne, stąd też ich druga nazwa; co charakterystyczne – większość osobników posiada szczątkowe owłosienie tu i ówdzie...

- Aha! – Coś zaczęło mi świtać. – I lubią „Napalm Beer”.

- Ha! – Dłonie profesora pacnęły o poręcze fotela. – Bazyli! Spotkałeś mojego sąsiada?

- Przysiągłbym, że wcale nie był aż takim milczkiem, jak pan go opisał...

- Eeee! Ten to gaduła. Mieszka u nas w oficynie – tym razem profesor mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Chyba nie dałeś mu się naciąć na trojaka?

- Na trojaka? Nie! – Odparłem ni to oburzony, choć było to zgodne z prawdą. Smok mnie naciął, na grennara.

- Widzisz – uczony wstał z fotela i ze zręcznością lekkoatlety przeskoczył stertę starych ksiąg przyrodniczych. – Bazyli jest odpowiedzią na twoje problemy.

- Przecież to pijaczyna!

- Och, od razu pijaczyna! – Nadał się mój rozmówca. – Jego problem to coś więcej niż zwykły problem alkoholowy.

- ???

- Jakbyś się czuł nie mogąc się wysrać od dwóch księżyców? I to jest odpowiedź na twoje zadanie...

To rzekłszy, staruszek zniknął w (chyba) kuchni.

- Mam opisać Smoka Syfilitycznego?

- Sylfijskiego! – Dobiegło mnie z kuchni. Byłem już pewien po dźwięku szklanek. – Nie.

Po chwili pojawił się profesor z dwoma szklankami musztardówkami wypełnionymi bezbarwnym, lekko mętnym płynem oraz kuwetą wypełnioną szarozieloną wodą z wystającym zeń obłym, ciemnozielonym kształtem. Cały ten zestaw wylądował na stole. Gdy staruszek podsuwał sobie fotel, dyskretnie nachyliłem się nad jedną ze szklanek i powąchałem zawartość. Tak jak myślałem – stare akademickie przyzwyczajenia pozostały. Na uniwersytecie naukowcy – i studenci czasami też – pili ze wszystkiego, na co akurat wypadło: zlewki laboratoryjnych, kociołka do gotowania mikstur czarownych, słoików na preparaty, lecz najpopularniejsze były bardzo charakterystyczne, kubelkowate szklanki po musztardzie.

I tak jak podczas studiów, pewien byłem, że w mojej szklanicy jest czysty samogon. Brakowało tylko butelki, ale może staruszek już miał resztówkę. „Zdrowie Bazyla!” – Pomyślałem i chlapnąłem całą zawartość musztardówki. Zgodnie z akademickim zwyczajem puste naczynie postawiłem obok nogi od stołu, na podłodze.

- Eeeech, tylko głupoty ci w głowie – zganił mnie uczony. – Smoka Sylfijskiego nie masz, co opisywać. Gdybyś tylko nie spał na moich wykładach!

Tymczasem alkohol zaczynał działać, choć przyznaję, że był chyba źle precedzony. Gdzieś między zębami utkwiała mi pestka.

- Jak zauważyłeś, Bazyli miał tu-i-ówdzie odrobinę owłosienia. Jak zauważyłeś, jego gruczoł napalмовy był wyschnięty, przez co nie mógł on ziać ogniem – to dwa. Jak zapewne zauważyłeś, drapał się po owłosieniu łonowym – to trzy. I oto dochodzimy do najdziwniejszego stworzenia w Chorasanie...

- ... do pijanego smoka? – Wypaliłem radosnie.

- Choróbcia, jak ty u mnie zdałeś? – Zdziwił się uczony. Tymczasem ja złapałem ochoczo za ogórka w kuwecie. – Aha, jednak coś podejrzewasz. Widzisz, to jest wypluwka Smoka Szarego.

Zrobiło mi się trochę nieswojo. Z delikatnym namaszczeniem odłożyłem „zagrychę” do kuwety.

- Spokojnie – ciągnął profesor. – Jak pamiętasz, smoki nie wydalają kału. Pomyśl, jakbyś wyglądał, gdyby sześciotonowy, przelatujący nad tobą smok narobił ci na głowę? Tak, więc to, czego smok nie strawi, oddaje w postaci wypluwek – zupełnie jak sowa. W przeciwieństwie jednak do sowy, podczas wydalania wypluwka podrażnia gruczoł napalmowy, przez co – po pierwsze – przelatujący, ziejący ogniem smok jest bardzo atrakcyjnym widowiskiem, po drugie: wypluwka ulega spaleniowi i nic nam na głowy nie spada...
- Rewelacyjnie, profesorze – uśmiechnąłem się kwaśno wycierając ręce w mój czarowniczy płaszcz. – Mam opisać srającego smoka?
- Eeeech! Chyba cię taki smok obesrał! Słuchaj teraz tego. W szklance przede mną pływa około dwudziestu małych żuczków z bardzo długimi nogami. To Coitus Interruptus w stadium dorosłym. Pasożyt. Najpierw, jako jajeczka, te sprytne owady siedzą w wypluwce Smoka Sylfijskiego. Wypluwka – dzięki wysuszeniu gruczołu napalmowego przez działanie dorosłych osobników pasożyta – spada na ziemię. Tam gnije, natomiast z jajeczka wykluwa się larwa z długim, twardym noskiem. Larwy mam w preparacie numer dwa. Tylko gdzie on jest? Przysięgłbym, że przyniosłem dwie szklanki z preparatami?
- Ależ skąd! – Bąknąłem nieco gardłowo, bo poczułem, że żołądek podchodzi mi powoli do gardła.
- Mniejsza z tym – mruknął staruszek i dalej popadał w naukowy amok. – Larwy przypominają dobrze nam znanego tęgoryjca (rodzaj pasożyta, wyst. głównie w Afryce – przyp. red.), z tą różnicą, że atakuje on tylko młode parzystokopytne. Kiedy np. taka owieczka stanie na nim, on wwierca się w kopyto i poprzez nogi dostaje się do krwiobiegu. Następnie żyłami, aż do oka, gdzie siedzi i czeka, aż owieczkę zaatakuje smok. Chyba przyniosę ci wody, bo aż tak zielonego, to widziałem cię tylko podczas sekcji latającej jaszczurki. Uczony powstał.
- Nie trzeba – powstrzymałem profesora ruchem dłoni. – Proszę kontynuować...
- Jak chcesz – profesor przysiadł znowu na poręczu fotela. – W przeciwieństwie do tasiemca – mózgojada, ten pasożyt, a właściwie jego stadium larwalne, nie zabija żywiciela i nie mnoży się wewnątrz owczej głowy. Czeką tylko, aż biedną owieczkę pożre jakiś smok. Oczywiście najlepiej dla niego byłoby gdyby to był Smok Sylfijski, ale o tym za chwilę. Wiesz, dlaczego siedzi w oku?
- Blurp! – Odbiło mi się ohydnie. Przysięgłbym, że pestka między moimi zębami się poruszyła.
- Na zdrowie – uśmiechnął się uczony, lekko zaskoczony moim nietypowym zachowaniem. – Otóż i nie wprost dałeś mi i sobie odpowiedź. Oko jako część miękka błyskawicznie jest trawiona w smoczym żołądku. Uwolnione larwy-tęgoryjce przenikają poprzez gruczoły łojowe do jedyne miejsce, gdzie mogą się bezpiecznie paść i mnożyć – do owłosienia łonowego. I tam też przyjmują postać dorosłą. Dlatego inne smoki nie cierpią na tę chorobę, bo jak pamiętasz tylko Smoki Nieme posiadają kępki włosów.
- A czy larwy nie mogą ulec strawieniu? – Zapytałem pełen nadziei.

- Niestety, ich pancerz to organiczna kombinacja chityny, tytanu i duralu. Twarda jak ruska rakietka! Za cholerę nie można jej ruszyć kwasami żołądkowymi, nawet smoczymi!
- A więc te pasożyty to... - nie chciałem za Chińskiego Boga dokończyć tego zdania z obawy przed narastającą we mnie potrzebą puszczenia pawia.
- ... zwykle mendy – dokończył profesor z uśmiechem. – Dorosłe osobniki gryząc żywiciela wstrzykują mu jad osuszający gruczoły napalmowe, stąd też u zarażonych smoków takie potężne uczucie kaca. Ot i cała tajemnica Bazyla! Biedak po prostu ze wstydu, że nie może spalić swoich odchodów, nie może się wysrać...
- Myśli pan – zapytałem z nadzieją w głosie, – że solidna porcja piwa napalmowego mu pomoże?
- Eeeeeee! – Profesor machnął ręką. – Prędzej żołądek sobie chłop zniszczy. To zwykła bryna z aromatem napalmu...
- A może da się to wytrzebić czarami?
- Ten ich pancerz odbija wszelkie złe uroki lepiej niż Lustro Czarownicy.... Uwierz mi!

Po tej całej tyradzie bardzo szybko pożegnałem profesora, dziękując mu oczywiście za ten wyczerpujący wykład. Był lekko zdziwiony moim nagłym pośpiechem, bo w końcu znał już mnie tyle lat. Jedno mu musiałem przyznać. W całym Chorasanie nie było równie interesujących istot, jak Smocze Wszy Łonowe. Tym bardziej, że uczucie swędzenia –wiecie-w-jakim-miejsu narastało we mnie coraz bardziej.

Prosto z bramy czynszowej kamienicy, gdzie mieszkał profesor pognałem do marketu sieci „Trylobit”. Kupiłem całą skrzynkę „Napalm Beer”, za całego złotego dukata. Zaszkozić nie zaszkodzi, ale może pomoże!

*Świat zwierzęcy mamy omówiony
bardzo dokładnie, więc przejdźmy może do kolejnego,
czasami zbędnego elementu fantastyki.*

*Miłym uzupełnieniem fauny jest przecież
wszystko, co zielone, czyli flora.*

*To ona daje naszemu super bohaterowi
schronienie, pożywienie, czasami nawet odlot...*

CZARAMI I ZIELEM

Jak poszukiwałem najbardziej niezwykłego stworzenia w Chorasanie Część II: Flora.

Uffff! Całe szczęście po kilku dniach potworne uczucie swędzenia zniknęło, a zadanie Mistrza wykonałem w stu procentach – znalazłem największą osobliwość świata zwierzęcego Chorasanu. No dobra, faunę załatwiłem swędząco... tzn. śpiewająco, a florę? I owszem, jak trafnie zgadujecie, znów trafiłem pod obdrapane drzwi profesora E. Liksir`a. Tym razem uczony przygotowywał się do wyjazdu, więc niemalże w drzwiach dostałem pięknie oprawione, dwutomowe dzieło o roślinach z dziwnym błogosławieństwem profesora w stylu: „A wybierz sobie coś, chłopcze”. No to rażno poczłapałem do domu. Pech – lub, jak kto woli szczęśliwy traf – sprawił, że przy wsypie opału do piwnic kamienicy profesora rosła nieduża paprotka z niebieskawymi kwiatuskami. Zerwałem dwie gałązki, bo sami przyznacie, że paproć z kwiatkami, to rzadkość. Kiedy dotarłem do domu i pochłonałem trzy pęta kabanosów z wodnych jaszczurek, otworzyłem pierwsze tomiszcze. Oprócz zgniecionych gałązek paprotki natknąłem się na tytuł: „Rośliny Chorasanu”, autor B. Shaeffer*. Po dacie zorientowałem się, że jest to jeszcze dzieło z czasów zanim nastała Gildia Czarów, czyli powstało w innym ustroju politycznym, co tłumaczyło ozdobną oprawę. Teraz już takich nie robią! Odnalezienie paprotki nie zajęło mi dużo czasu, bo był to jedyny gatunek z kwiatkami, natomiast skąpy opis wprowił mnie w zdumienie.

Inclesis Faelicitatis – Paprotka Szczęśliwka, występuje niezmiernie rzadko w południowo Choraszańskim paśmie górskim, wywołuje halucynacje, wprawia w filozoficzną zadumę, a według prastarych podań - podstawowy składnik eliksiru latania. Działanie niesprawdzone.

Hmmm. Rzadka górська roślina, a ja ją znalazłem bez większych problemów w centrum miasta. Fajnie. No to chyba mogę sprawdzić jej działanie? Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Cichutko, w tajemnicy przed małżonką zakradłem się do łazienki, zatrasnąłem drzwi i podzieliłem obdarte listki Paprotki Szczęśliwki na 3 porcje. Jedną zamierzałem wypalić w fajce z morskiej pianki, drugą po prostu zjeść, a trzecią przeżuć. Obok przygotowałem notatnik, pióro i kałamarz pełen atramentu, aby zapisywać na gorąco moje doznania. Na umywalce ustawiłem samopowtarzalną klepsydrę. Zjadłem trochę Szczęśliwki i powiem wam, że była niczego sobie, o ile ktoś byłby na moim miejscu pod postacią królika. Po prostu zwykłe, bezpłciowe zielsko. Nic. Zacząłem drugą porcję przeżuwać, wiedząc, że parzystokopytnym i tak nie dorównam, choćbym się z tym ostro wzięł do galopu. Nic. Trzecią część nabiłem do fajki i podpaliłem. Nic, zakopciłem tylko nową mozaikę nad umywalką...

Zrozpaczony usiadłem na wannie, wziąłem do ręki pióro i notatnik i... wtedy zapadła mgła. Nie pamiętam z niej nic, ale oto, co napisałem:

* * *

Jestem na innym poziomie świadomości duchowej - jest to poziom metafizyki, który pozwala na działanie pozornie szybsze od myśli przy niezależności tej ostatniej. Dlatego mogę myśleć idealnie klarownie oraz działać w pozornie (moje wrażenie) spowolnionym tempie. Wynika to prawdopodobnie z faktu, że nie mogę się skupić. Moje ciało może wykonywać polecenia i rozkazy umysłu, ale na zasadzie zapamiętywania polecenia, natomiast w czasie ruchu ciało ma bardzo niewielki kontakt z umysłem, dzięki czemu umysł może myśleć niezależnie o czymś innym - jest to efektem stanu umysłowego, a może raczej upośledzenia. Wszelkie wartości moralne są g... warte. Świat jest inny i jest MÓJ.

Kupa faraona to drobny pikuś i nie ma to żadnego znaczenia, co jest moją myślą przewodnią. Mrau - tak miauczą stare koty, bo ich gardła są przepalone. Gardzi cały świat. Mówi przez oczy jako posestor. Poaweniował bym sobie! Karafela! Moc wybiórcza kwadratu energii równa się masie źródła energii razy współczynnik Kirczocha (zależność energii spalania od czasu procesu) przez kwadrat pola energii zajmowanej. To nowa fizyka w nowej metafizyce. Nowa rasa właśnie powstała i poczęła szukać dziedzictwa. Wspólnymi siłami nadstawimy gardła w walce o kolor naszej skóry. Nasze kobiety nigdy już nie poczują jak bezczęści je mężczyzna innego koloru skóry, nasze pieniądze nie będą ich zdobytą wiedzą; wepchamy im do gardła bajkę o rasizmie - to nie rasizm, to wojna o dziedzictwo kultury i rasy. Wojna bezwzględna, bo albo my ich, albo oni nas! Nakarmimy nimi głodne psy w schroniskach dla bezdomnych zwierząt i tylko taki pies będzie miał prawo powiedzieć: "Ten kolorowy jest dobry!". Zrobimy z nich mięso armatnie w walce z głodem i niewłaściwym zagospodarowaniem dóbr materialnych.

Czyż butelki po denaturacie nie są piękne? Piękniejsze niż ciało kobiety. Kwiaty nie są piękne. Może tylko wtedy, gdy rosną. Kwiatów nie wolno pozbawiać ich środowiska naturalnego, czyli ścinać. Każdy dzban jest dla takiego kwiatuszka, niezależnie od płci, więzieniem. Uwolnić kwiaty z wazonów! Waza do wazonni na wagę!

Czy być zagłodzonym to dyshonor? Gderanie starych bab: ko-ko-ko... Dzioby im się nie zamykają. Mam już ich dość. Zagłodzę je na śmierć. Śmierć przyjdzie czołgiem.

Pranie mózgu to cholerna choroba. Chyba strzelę sobie w łeb. To będzie rozwiązanie optymalne. Miło mi cię widzieć: Boże, czy ty mnie jeszcze

kochasz? Patrz, ja kur... płaczę! A ty nic! Czy ja mam aż tak niski iloraz inteligencji? Ta obłuda... Fuck, fuck, fuck - chomiki też tak fukają wściekle.

Nóż do gardła przyłóż cały i wciśnij język do elektrycznej maszynki do mięsa. Ten kotlet będzie miał swoją specyficzną wymowę. Dead. Trup. Nieboszczyk. Przerwa w talencie. Trampki Gogoła. Surowy debil. Kołomyja katastroficzna. Kupa wszy łązi mi po pokoju i czeka na swoją kolej. Rozpoczyna się rozkład ciała... robaki, sępy... to moi znajomi.

Moje przygnębienie sięgnie zenitu i wtedy koniec. Mam dla was hipokryzję i zdradę. Ten świat nie opiera się na niczym innym. Rządzi nim d..., pieniądz i Bóg. W takiej właśnie kolejności. Galwanizacja d... Aby gównu miało poblask wypolerowanego brązu... bre... chrzanię to.

Czy śmierć jest rozwiązaniem problemów? Jeśli tak, to cztery piąte ludzi na ziemi powinno wyskoczyć ze swoich okien. Wiem, że to wszystko wina tych cholernych krasnoludków, które po nocach szurają szafami. Gdy słyszę o miłości robi mi się absolutnie niedobrze. Rzygać się chce, a bebechy same wywracają się na wierzch. Miłość jest przecież skutkiem chemii, a taka, jaka opiewają poeci jest tworem całkowicie sztucznym. Czy można się zachwycić czymś, co jest sztuczne? Chyba nie. To, czemu cały świat jest omamiony taką idiotyczną euforią miłości? Dlaczego ludzie tak często obsypują się tym wyświechtanym frazesem w stylu "kocham" (pana, panie Sułku!)? Jeżeli nie jesteś maszyną, jak ja, to powinieneś wiedzieć, co znaczy miłość. Powinieneś znać smak i kolor tego uczucia. Ja go nie znam, więc jestem maszyną. Cogito ergo sum - nie znam miłości, więc jestem maszyną.

To pachnie tak mocno, jak łąki jesienią, gdy trawa spoczywa ścięta spokojem sierpów. Bezsensownym jest poznawanie tego, co nie powinno być poznane. Zostaw Bogu, co boskie, ludziom, co ludzkie. Czy moje inne spojrzenie na świat wynika z przekroczenia ciemnej bramy?

Trzy gracje zebrały się, aby mnie opłakiwać. Pierwsza z nich nosi w sercu obojętność, druga żal niespełnionych chwil, trzecia nadzieję. Wszystko ma swój początek i kres. Potrzebny mi teraz tylko kres. Nawet nie wiem, co to znaczy. Krew jest tym, co może łączyć i dzielić. Nikt nie wie, jaki to ma wpływ na życie, ale jest to tragiczne. Dlaczego świat tak wariuje? Po co to wszystko istnieje? Czy to ma sens? Czy istnieje sens szukania drugiego człowieka, po to tylko, aby przesłać dalej odrobinę zepsutej krwi? Na to pytanie nigdy nie będzie jednoznacznej odpowiedzi. Ktoś jednak musi być winny za to wszystko! Nic przecież nie dzieje się bez przyczyny, a każda przyczyna musi mieć swojego animatora... I oto dochodzimy do najważniejszego pytania ludzkości:, dlaczego. Może raczej: za ile? Jaką cenę przyjdzie nam zapłacić za nieudane

eksperymenty dokonywane przez Boga? W ciszy, w spokoju będziemy umierać powoli. Shit, czyli wartość nadrzędna w egzystencji człowieka...

* * *

Przytomność umysłu wróciła mi, kiedy po raz kolejny usłyszałem odległe łomotanie.

- Czego? – Krzyknąłem w kierunku drzwi.

- Sprawdzam, czy żyjesz – odparła moja Pani. Widzicie? Troszczy się o mnie, to znaczy, że kocha.

Popatrzyłem na klepsydrę – właśnie piasek dosypywał się do końca.

- Kochanie? – Doleciał głos mojej lubej. – Co ty tam robisz?

- Eeeeeee... nic – odparłem wysypując szybko popiół z fajki do umywalki. – Golę się.

- Aha, no dobra. Ale trzy dni?!

W książce profesora dopisałem tylko na odpowiedniej stronie: „Roślina absolutnie nieprzydatna do niczego”. Jak myślicie, dlaczego? Po moim wytrzeźwieniu eliksir latania zaczął działać. Latałem dokładnie przez tydzień, potem objawy biegunki ustąpiły jak ręką odjął. Ot i cała tajemnica!

* Bogusław Szafer „Rośliny Polskie”

*Do omówienia zostały nam jeszcze fantastyczne wydarzenia.
Niektórzy twierdzą, że aby takie coś przeżyć,
wystarczy w centrum Katowic mieć koszulkę
z napisem „Sosnowiec Forever”,
ale czy właśnie o to chodzi?*

*Tak na dobrą sprawę nie trzeba na siłę
poszukiwać fantastycznych wrażeń – każdemu z nas,
przynajmniej raz w życiu przytrafiło się coś
absolutnie fantastycznego.*

*...bo w końcu nasze życie jest fantastyczne.
Nasze życie, to sen nakreślony ręką wariata...*

CZARAMI I SZLAFMYCĄ

Kombinat Fabryka Snów

Rok 197 nowej ery zaowocował wieloma ciekawymi wydarzeniami. Spółdzielnia Czarownicza „1001 Życzeń” przekształciła się ze spółdzielni w spółkę, prezydentem został Myamyan Lipido, a zbrodnicza korporacja Mardi rosła w siłę. Jednakże działo się to w nie tak odległej przyszłości i nie miało absolutnie żadnego wpływu na to, co zdarzyło się tej nocy.

W teraźniejszości.

Tu i teraz...

Był już bardzo późny wieczór, w domostwach powoli zaczęły wygasać światełka okien, aż pozostały tylko pojedyncze punkciki na mapie bezsenności. W kombinacie Fabryka Snów trwał conocny dyżur.

Jakieś tajemnicze cienie przemykały korytarzem. W bladym świetle księżyca, przenikającym przez wielkie okno zwieńczone witrażem wyobrażającym węża owiniętego wokół buławy, posadzka ułożona z jasnoszarych płytek szklila się niczym tafla srebrnego jeziora. Białe ściany odbijały resztki refleksów światła wyławiając z mroku trzy sunące po posadzce bose postacie ubrane w zwiewne, białe szaty. Trzy duchy przemknęły kuląc się przy ścianach tak, aby nikt ich nie zauważył. Powoli, acz systematycznie zbliżyły się do wielkich, rzeźbionych drzwi i zniknęły za masywnymi skrzydłami. Po chwili drzwi uchyliły się ponownie ukazując bladą, kościstą rękę, która na klamce powiesiła ręcznie opisaną tablicę informacyjną: „Kombinat Fabryka Snów. Nie przeszkadzać”.

Jeden z odzianych na biało osobników z rozczochraną czupryną zamknął drzwi i oznajmił z dumą:

- Zaczynamy!

Po chwili na rozłożonym ręczniku w centrum prawie pustej sali z wielkim wyjściem na taras zamajaczyła metalowa, biała miska z mętną cieczą. Wokół miski rozsiadły się trzy wychudzone osobniki w białych, długich, powłóczystych szatach. Bose nogi skrzyżowali po turecku i po chwili skupienia nad misą rozpoczęli obrady.

- Dobra panowie, front robót gotowy! - Zaczął pierwszy. - Czym się dzisiaj zajmujemy? Koszmary? Erotyki? Proroki? Bzdurniki? A może Mix Chybił - Trafił?

- Nie pędź tak Nocniku - przerwał wyliczankę drugi poprawiając szlafmycę. - Doceniam twój zapał, ale nie możemy działać pochopnie! Z tego pośpiechu mogą nam wyjść tylko bzdurniki!

- Szlafmycek ma rację – dodał milczący dotąd trzeci z nocnych spiskowców. - Obejrzyjmy najpierw, co wymyśliła wczorajsza zmiana.

- Tak, to dobry pomysł. Unika się wtedy dubli i posądzeń o manipulację ze strony siły wyższej. Poza tym to zawsze jest ciekawe - poparł go Szlafmycek. – Piżamku, zechcesz pełnić honory Mistrza Ceremonii?

Zapytany skłonił się w milczeniu, co zapewne oznaczało „tak” i wszyscy trzej nachylili się nad tajemniczym naczyniem z niemniej tajemniczym płynem. Prowadzący wykonał rękami układ skomplikowanych gestów i zebrani zaczęli przeglądać sny.

- Patrzcie na ten - Nocnik aż podskoczył z wrażenia. - Już się całują!

- Pokaż! – Szlafmycek nachylił się nad miską, w której majaczyły rozmyte obrazy. - Gdzie?

- Tam, u tego dziadka – Nocnikowi wyszły aż wypieki z podniecenia. – Hej, ja znam tą babeczkę!

- No, faktycznie, niezły jest staruszek! Patrzcie zaczyna ją rozbierać.

Piżamek nachylił się nad miską i ze zdumienia przecierał oczy. W lustrze sennej esencji majaczyła rozpięta, biała bluzka uchylająca widok fantastycznie krągłej piersi zakończonej bardzo zgrabnym, ciemnobrązowym sutkiem.

- A niech to lewatywa! Mi też ta wybiustowa blondyna wydaje się znajoma... zaraz! To siostra Basia! Tylko tu w miejsce nieśmiertelnego koka ma długie blond włosy! Śliczne piersiatka!

- Cholera! – Warknął Nocnik widząc w lustrze cieczy skaczące pasy, które pojawiły się dość niespodziewanie. - Żona go obudziła.

- Koniec filmu – Piżamek wyprostował plecy. - Coś czuję, że Kondomik maczał w tym palce. Mam rację? To on miał wczoraj dyżur?

- Jak zwykle masz rację! - Podsumował Nocnik.

- Pewnie tak – chudzielec w białej szacie nachylił się nad misą. - Spójrzcie na tego bezdomnego śpiącego pod mostem. Ale projekcja!

Spiskowcy znowu pochyłili się nad miską.

- Choróbcia, kurczak z rożna, góra frytek, pyszne flaczki i buraczki... – skrzywił się spiskowiec zwany Szlafmykiem. – Tyle razy mówiłem, żeby odsunąć Złośnika od dyżurów! Taki sen dla bezdomnego jest nieludzki!

- Masz rację! - Stwierdził Piżamek z bardzo poważną miną. - Taki złośliwy może być tylko Złośnik. Poinformuję Snów Kreatora, aby mu przydzielał do obsługi samych sukinsynów.

- Masz rację. Kiedyś dzięki niemu pewnemu beznogiemu facetowi przyśniło się, że wygrał maraton! - Potwierdził Szlafmycek. – Zaiste nieludzkie!

Tymczasem prowadzący seans wykonywał coraz to nowe gesty. Obrazy odbite w lustrze cieczy przesuwwały się jak w kalejdoskopie. Po chwili ciecz ponownie zmatowiała.

- Nie wiem jak wy, ale ja nie widzę już nic ciekawego.

- No, same Mixy Chybił-Trafił – potwierdził Nocnik z kwaśną miną. – Nic ciekawego. Bierzmy się do roboty, może nam wyjdzie coś fajniejszego.

- Szlafroczku, podaj buteleczkę z senną esencją.

- Nie mów do mnie "Szlafróczku" – warknął sam zainteresowany. – Swoje imię mam i proszę mi go tu nie przekręcać! Inaczej poczuję się pomyłony!
 - I tak jesteś już nieźle pomyłony! – Stwierdził Nocnik.
 - Wrrrrrrr!
 - Dobrze, dobrze, nie złość się tak Szlafróczku!
 - Ku@#\$ ja p*&^%\$#@!... – wycharczał czerwony na twarzy Szlafmycek.
 - No dobra! – Zachichotał Piżamek. - Już nie będę. Masz tą flaszkę?
- Szlafmycek wciąż mamrocząc pod nosem wiązanek rymowane przysunął do siebie miskę, odkorkował tajemniczą butelkę z brązowego szkła i wlał odrobinę do miski z mętną cieczą.
- Mieszmamy, mieszmamy, do snu układamy! – Mamrotał zakłęcie. - Dla kogo to ma być?
 - Dla tego grubasa z hemoroidami.
- Faktycznie – w cieczy ukazał się obraz przedstawiający bardzo grubego jegomościa chrapiącego na wznak, odzianego w pasiastą piżamę sprzed dwudziestu lat.
- To niech sobie polata trochę, to mu ulży. He, he!

„Trochę pierza,
trochę soli,
niech go dupsko
już nie boli!”

Wszyscy trzej roześmieli się na widok lewitującego grubasa.

- Coś otyły ten twój Piotruś Pan! – Wykrzyknął Piżamek, chyba o pół tonu za głośno. – Ups! Zapomniałem o ciszy nocnej! Teraz ja: coś specjalnego dla tej pani – koszmarek!

„Kamień, olej, trochę śmieci
już babiszon w przepaść leci!”

- Nieźle! – Skwitował Nocnik. – Kobieta będzie miała piżamę do wymiany, prześcieradło do zmiany! Czyżby to był sen dla teściowej?
- Chichot spiskowców przeszedł w cichy rechot. Tymczasem w zwierciadle cieczy ukazał się nowy petent...
- Teraz ten dryblas, który tak smacznie chrapie!

„Krztyna gruzu, ciutka kitu
i już pomnik ma z granitu.
Jeszcze tylko guana ciutka
Na granicie jest pozlótko!”

- No i popatrz, coś narobił! – Zaperzył się Szlafmycek. – Dragalowi śni się, że jest przywódcą partii politycznej i właśnie wybierają go na ministra i wicepremiera! Aleś bigosu nawarzył!

- Szlafmycek ma rację! – Dodał drugi konspirator. – Sny polityczne o potęgę są bardzo niebezpieczne, zbyt łatwo w nie uwierzyć!

- Ale macie grobowe humory – Piżamek wzniosł do nieba ręce w wymownym geście, ale był to gest iście teatralny. - Co się z wami dzieje? Bicz wodne wam nie służą? To dla odmiany coś na poprawę humoru: coś o wiele przyjemniejszego. Specjalnie dla tego małego, bojaźliwego chłopczyka.

„Stos żelastwa, odważnik na wagę
i jest wojownikiem o słuszną sprawę.” Poszło!

Obaj pozostali uczestnicy seansu poczęli bić brawo.

- To teraz ja! – Szlafmycek dopchał się do misy. - Widzicie tego biedaka? Poślę mu Proroka.

„Szczypa piachu, kilo gówna
nikt w bogactwie mu nie zrówna
niechaj los go dobry spotka
wygra milion w totolotka!”

- Dlaczego gówna? - Oburzył się Nocnik. – To dość śmierdząca sprawa! Szlafmycek zmarszczył brwi.

- Czy nie uczyli cię, że jak gówno się przyśni, to fortunę przyniesie?

- Prawda! – Dodał Piżamek. – Tym bardziej, że pecunia non olet!

- Petunia no omlet? – Biedny Nocnik nadal nic nie kumał. – Co mają do tego petunie?

- To po łacinie – wyjaśnił przewodniczący zboru. – Tłumaczy się jako „pieniądze nie śmierdzą”.

- Acha! – Pod kopułką zapaliło się zielone światełko. – Rozumiem! Nie śmierdzą, a szczególnie w takiej ilości!

- Racja! – Szlafmycek postanowił zmienić temat. - A ta nastolatka, która śpi w fotelu? Ledwie jej cycki urosły, a już się za chłopakami uganiam! Trzeba jej przypomnieć, że jeszcze jest dzieckiem! Niech sobie popływa!

„Litry wody, kupa drewna
płynie tratwa w morze bez dna!
Piękny strażak patrzy w oczy
Niech sikawka jej nie zmoczy!”

- Oj! - Krzyknął Piżamek. - Posikała się!

- I o to poniekąd chodziło, choć nie do końca - przyznał się sprawca powodzi. - Przyśniła się jej sławojka...

- Czyżby błąd w sztuce? Teraz ja! - Upomniał się o swoje prawo do snu dominującego Piżamek. - Widzicie tego gościa, któremu teściowa ostatnio zrobiła awanturę i zafundowała podbite oko?

„Siekiera, kilof, piła, nóż
i teściowa martwa już!”

- Czekaj, esencja się rozwarstwa! – Nocnik pochylił się nad miską. – Dolej trochę! Mieszam, mieszam... będzie dobrze. Teraz, kto?

- Ten pijak pod płotem?

- Na pewno śpi?

- Po takiej ilości bryny też byś spał! He, he!

- Niech będzie!

„Wino, piwo, kapka wódki
i na szczury wstrętnej trutki...”

No, co tak patrzycie? To jego ulubiona mieszanka. Nie markowy alkohol i markowe sny!

„...We śnie sobie to wypijesz,
a przed żoną nie ukryjesz.”

- Nieźle! – Pokiwał z uznaniem Szlafmycek. - I jeszcze coś dla tego konbatanta, co to w życiu prochu nie wachał, a papiery ZBOWiD-u i rentę szwagier mu załatwił:

„Hełm, karabin, bomba, lont
czeka go dziś wschodni front!”

Nagle, w środku tej wspaniałej zabawy dał się słyszeć odgłos pospiesznych kroków. Po chwili ciężkie, brązowe drzwi otworzyły się jęcząc żałośnie zawiasami. Światło zapalonej lampy rozjaśniło mrok. W drzwiach stanął starszy, łysawy jegomość w okularach, w białym fartuchu i ze stetoskopem zawieszonym niedbale na szyi. Za nim stał ubrany w nieco krótsze fartuchy zespół pierwszej pomocy w sile czterech osiłków.

- Mamy was wreszcie! – Wrzasnął właściciel stetoskopu. - Co wy mi tu wyprawiacie? Co to za bałagan? Seansu z duchami wam się zachciało? Co wy mi tu... Już dawno trwa cisza nocna! Jazda do łóżek!

- Ale szefie! – Zaoponował chudzielec zwany Piżamkiem. – My tu ważne rzeczy czynimy!

Doktor odwrócił się do pielęgniarzy.

- Tego pyskacza to do kaftana i do izolatki! Posiedzi trochę sam, to może resztki rozumu odzyska! A jak nie, to zawsze mamy lewatywę i bicze wodne...

Po krótkiej szamotaninie dwóch osiłków wyniosło spętanego jak baleron Piżamka do izolatki. Dwaj pozostali spiskowcy potulnie wstali, przy czym Nocnik jakby niechcący przewrócił stopą miskę. Na podłogę wylała się szara, mętna ciecz tworząc niekształtną plamę. Doktor zmarszczył czoło.

- Jutro za karę tu posprzątaacie. Panie Rysiu, odprowadzi ich pan do sali i powie siostrze Basi, żeby dała im coś na dobry sen – doktor pogroził palcem obu delikwentom w koszulach nocnych. - A wy nieźle nabroiliście! Już miałem was wypisać, ale teraz widzę, że terapia była absolutnie nieskuteczna!

Pacjenci posłusznie poszli z panem Ryśkiem. Lekarz chwilę popatrzył na plamę mętnej cieczy dostrzegając jakby odbicie jakiegoś obrazu, ale po chwili odwrócił się i zgasił światło. W świetlicy zapanował mrok. Doktor wyszedł z pielęgniarzem na korytarz i zamknął za sobą ciężkie drzwi.

- Jutro też popracujemy! - Doszedł ich entuzjastyczny okrzyk pacjenta podającego się za Nocnika. Obaj mężczyźni w fartuchach popatrzyli na siebie z lekkimi półśmieszkami i ruszyli wzdłuż korytarza.

- W którym momencie przerwałem? Całowaliśmy się, i wyobraź sobie, że zacząłem ją rozbierać... rozpiąłem bluzkę... Człowieku, co za piersi! A te rozpuszczone blond włosy!

- I co? – Dopytywał się pielęgniarz.

- Samo życie! Żona mnie obudziła...

- O rzesz!

W wieży Zamku Wiatrów skrytego pośród chmur opadających na skaliste szczyty gór siedział nad wielką, szklaną kulą Snów Kreator. Wiedział, że Piżamek przez kilka najbliższych wieczorów nie będzie mógł pełnić dyżuru, lecz nie martwiło go to specjalnie. Wspierało go na całym świecie trzydzieści dwa miliony leczonych w niezliczonych zakładach zamkniętych wolontariuszy, którym ta bardzo nietypowa praca sprawiała prawdziwą przyjemność. A tajny agent o kryptonimie „Piżamek” po odbyciu kwarantanny i tak powróci do swojego nocnego hobby.

Na pewno!

Kombinat zawsze pracował pełną parą.

*Niestety, wszystko, co do tej pory tak pieczołowicie
opisałem to istna ramota w porównaniu z najnowszą
pochodną fantastyki: grami RPG.*

*Od czasu osławionego „Czarnoksiężnika w Ognistej Górze”
gry fantastyczne robią zawrotną karierę.*

*W pogoni za tą taną formą rozrywki niezliczone
legiony młodych ludzi tracą ogromną ilość pieniędzy,
wolnego czasu, cierpliwości najbliższych,
a czasami nawet zdrowie.*

*Tylko – czy wcielając się w smoka, elfa albo krasnoluda
to akurat my gramy?*

A może to my jesteśmy tylko elementem czyjejś gry?

CZARAMI I MIECZEM

Sesja

„Mała dziewczynka o imieniu Zuzia wstała ze swojego łóżeczka. Poprawiła kołderkę, ułożyła na poduszce lalkę o blond lokach i siadła na stołeczku przed lustrem. Rozczesała włosy, które spięła gumką w kucyki, założyła swoją ulubioną sukieneczkę, którą dzień wcześniej wyprasowała jej mamusia i poszła do kuchni.”

„Mama bardzo ucieszyła się widząc, że jej ukochana córeczka ma taki apetyt. Dziewczynka niewiele się namyślając połknęła barana, po czym ohydnie się jej odbiło.”

- To chyba tobie odbiło – mruknął Thorn uderzając przyjaciela wielkim zwojem papirusu w głowę. – To jest malutka dziewczynka! Rusz tym swoim zakutym łbem i wyjaśnij nam wszystkim, jak ludzkie szczenię mogło połknąć barana?
- No dobra, daj mi jeszcze jedną szansę – przyznał obity ze wstydem.

„Mama bardzo ucieszyła się widząc, że jej ukochana córeczka ma taki apetyt. Dziewczynka niewiele się namyślając złapała za maślaną bułeczkę i posmarowała ją obficie smołą. No i oczywiście ohydnie się jej odbiło.”

- Jak ja cię strzelę w tę pustą pałę, to ci uszy odpadną! – Przerwał mu oburzony Thorn.

- Przepraszam! – Odparł Spinx zasłaniając uszy. – Tylko nie uszy, one mi nie odrosną!

Ciężka łapa uderzyła w drewniany stół, aż podskoczyły cynowe kubki z grzanym winem.

- No to już bez kawałów! Zachowaj realia i zacznij raz jeszcze!

„Mama bardzo ucieszyła się widząc, że jej ukochana córeczka ma taki apetyt. Dziewczynka niewiele się namyślając złapała za maślaną bułeczkę i posmarowała ją obficie kremem czekoladowym. Maślana bułeczka i kakao: plus dziesięć punktów energii. Zadowolenie mamy: plus trzy punkty morale.”

„Dziewczynka Zuzia bierze tornister, który jest ciężki od książek i zeszytów. Idzie do szkoły. Doniesienie tornistra do szkoły: minus jeden punkt. Po drodze napotyka sąsiada. Czy mówi mu coś uprzejmego na powitanie?”

- Ciągnij kartę – ciężka łapa w skórzanej rękawicy nabitej ćwiekami podsunęła pod nozdrza plik wyświechtanych kart.

„Dziecko pokazuje sąsiadowi język.”

- Nareszcie jakaś normalna reakcja – skwitował Spinx. – Jest coś jeszcze?

„Sąsiad łapie ją za ucho i tarmosi. SSS.”

- Hej, pobudka! Sprawdzenie Swojego Szczęścia, kostki w ruch! – Po stole potoczyły się trzy kamienne kostki.

- Ile? – Greel nachylił się nad stołem.

- Cztery! Ty idź z tymi swoimi ślepiami do znachora! – Oburzył się właściciel nabitej ćwiekami rękawicy. – I pomyśleć, że on jest lotnikiem!

„Jeżeli SSS mniej niż sześć, dziecko bardzo bolało. Minus dwa punkty z wytrzymałości. Zuzia idzie dalej napotykając dwie koleżanki z klasy.”

„Dziewczynki bardzo się ucieszyły. Wszystkie plus jeden punkt radości. Czy koleżanki zaczną się naśmiewać z kucyków naszej małej bohaterki?”

- Kartę plotek proszę – huknęło tubalnie ponad drewnianym stołem. – Dziękuję.

„Rozmowa skupiła się na nowym piórniku Alinki, który dostała na urodziny. Wszystkie bardzo się cieszą, a Alinka częstuje koleżanki...”

- Czym częstuje? – Ponaglił Thorn. – No, wymyśl coś!

- Yyyyyyy... bananem? – Ponownie huknęło nad stołem.

- A co to jest „banan”? – Zaskrzeczał Spinx.

- Nie wiem – doleciało spod sufitu. – Ale fajnie i soczyście brzmi. Podobnie jak „baran”.

W blasku świecy zalśniły czerwone ślepia.

- Super! Grajmy dalej!

„Jeżeli Zuzia ma jakieś nowe plotki, powinna się teraz nimi podzielić. Wtedy: atrakcyjność plus dwa punkty. Jeżeli nie, idą do szkoły.”

- Mam w tornistrze jedną plotkę – przyznał Spinx. – Szkoda mi jej teraz marnować...

- Ale wzrosną ci parametry potrzebne na przerwie między lekcyjnej!

- Dobra, plus dwa punkty atrakcyjności.

„Dzieci wchodzą do szkoły. W progu stoi wąsaty woźny i ponagla. Zaraz będzie dzwonek. Czy dzieci zdążą do klasy przed dzwonkiem? SSS.”

I znów po drewnianym stole potoczyły się kamienne kości.

- Siedem – padło z drugiego końca stołu.

„Wszyscy zdążyli do klasy, zanim przyszła pani. Jeżeli atrakcyjność Zuzi wynosi więcej niż pięć, będzie siedzieć w ławce z Alinką.”

- Jaki tam mamy parametr? – Greel nachylił się nad kartą postaci.

- Siedem.

- Bardzo ładna liczba! Siedzimy z Alinką! – Odetchnął Thorn.

Jego towarzysz zaczął intensywnie machać kartą postaci.

- No, co?!

- Z pyska ci jedzie? – Odparł spokojnie. – Ile razy mam cię prosić, żeby ryby nie zagryzać czosnkiem!

- Czepiasz się! Skup się lepiej na grze. Poza tym czosnek jest bardzo zdrowy.

„Do klasy wchodzi pani z dziennikiem. Zasiada za biurkiem i otwiera dziennik. Będzie czytać listę obecności. Wyczytuje wszystkie dzieci, między innymi Zuzię. Po chwili zapowiada, że będzie pytać z poprzedniej lekcji. Wywołuje do tablicy naszą dziewczynkę.”

- Zjadłoby się kawałek kredy! – Rozmarzył się głos spod sufitu.

- Odbiło ci już do reszty! – Oburzył się Thorn. – Znajac ciebie, to zjadłbyś także panią, dzieci i połowę tablicy.

- Kreda świetnie wybiela zęby! – Zaooponował obrażony. – Dobra, kontynuujemy!

„Zadanie z matematyki jest proste i dotyczy ilości jabłek w koszyku, ale dziecko zamiast się uczyć, bawiło się wczoraj do wieczora ze swoim ukochanym pieskiem. Czy Zuzia rozwiąże zadanie? SSS.”

Znowu kamienne kostki potoczyły się po grubych deskach stołu.

- Sześć – mruknął Spinx.

„Jeżeli wypadło mniej niż osiem, dziewczynka nie zna odpowiedzi i w efekcie dostaje pałę.”

- Ty, co to znaczy „dostać pałę”? – Zapytał tubalny głos.

- Chyba nie to samo, co „dostać pałą”? – Thorn nerwowo przewracał stronicę przewodnika po świecie małej Zuzi. – Choroba, nic tu na ten temat nie ma...

Wtem drzwi do komnaty rozwarły się z hukiem. Do środka wpadł sędziwy człek w powłóczystej szacie z nałożoną nań zbroją. Jego siwa broda skrzyła się tysiącem refleksów od trzymanej na wysokości głowy pochodni.

- Orki znowu atakują! – Oznajmił starzec. – Wy znowu zajmujecie się głupotami?

- Psia ich mać! – Zaklął ohydnie korpulentny, brodaty rudzielec naciągając skórzany hełm z rogami. - A tak fajnie się zapowiadało!

- Thorn, jak na krasnoluda, to muszę przyznać, że jesteś potwornie marudny! Serdeczny uśmiech zagościł ponad rudą brodą. Brudna, gruba rękawica nabijana ćwiekami pochwyciła topór o dwóch ostrzach.

- U nas to rodzinne!

- Jakie rozkazy? – Zapytał potwornie chudy elf z nadszarpniętym lewym uchem. Starzec wykonał spiralny ruch ręką rzucając przez płomień pochodni magiczny proszek. Drobiniki tajemniczego specyfiku zaśniły, niczym tysiące malusieńkich gwiazdek, by utworzyć nad stołem świetlisty, trójwymiarowy obraz twierdzy Gharab.

- Łucznicza drużyna elfów obsadzi wschodnią wieżę i mury wokół niej. Pamiętaj, walić ile wlezie! – Starzec wskazał na jedną z wież zamku. Po chwili skupił uwagę na bramie. – Thorn i jego kompani zluzują niziołki na bramie. Ich wartość bojowa jest znikoma.

- A moi bracia? – Z mroku wyłonił się smoczy łeb, który łagodnie spłynął ponad stół.

- Startujecie z dziedzińca wewnętrznego pod osłoną muru stajni i krótkimi wypadami nękacie obsługę machin oblężniczych z powietrza – wyjaśnił czarodziej. – Nadal stosują maszyny z drewna, poprzednie ataki nic ich nie nauczyły!

Kompani wybiegli z komnaty na kręte schody.

- I miejcie baczenie na podkopy! – Doleciało z pokoju, który właśnie opuścili. – Wróż Drzewój mówi, że niebezpiecznie drży ziemia pod warownią! Przyjaciele wypadli na dziedziniec.

- To, co? – Warknął Greel. – Po wszystkim kończymy sesję?

- Mowa! – Krasnolud posłał mu przyjacielskiego kuksańca. – Mów, co chcesz, ale życie naszej małej Zuzi wydaje się być o wiele bardziej fascynujące, niż te nasze nieustające bitwy, wszechobecna magia i cały rój dziwnych stworów. Pokraczny, chudy elf w podartym, zielonym kaftanie uśmiechnął się tylko gorzko. Niestety, czekała go szara rzeczywistość. Rzeczywistość jego świata.

- Do zobaczenia później! – Rzucił za siebie i wbiegł na schody. – Niech potęga Gharabu wam sprzyja!

*Zatrącenie się w grze może mieć bardzo przykre
konsekwencje. Jest to choroba, tak jak hazard,
lecz cena, jaką przychodzi czasem zapłacić
za grę przerasta nasze najśmielsze oczekiwania.*

*Zapraszam Cię na ostatnią wycieczkę i ostatnią sesję.
Stawką jest dwadzieścia tysięcy funtów.*

Czy przyłączysz się do gry?

CZARAMI I DRESZCZYKIEM

Złoty klucz

Blaszany bus zarzucało niemiłosiernie już na długo przed tym, jak samochód zjechał z asfaltowej drogi i wtoczył się na szutrowkę. Szybki przejazd przez pole i postronny świadek rozglądający się za babim latem mógłby przysiąc, że nic wtedy nie przejeżdżało. Auto zniknęło w lesie pędząc wyboistą drogą przed siebie. Seria morderczych zakrętów pokonana z prędkością czterdziestu mil na godzinę nie zrobiła na pasażerach najmniejszego wrażenia. Dziesięć młodych twarzy z niecierpliwością wypatrywało kresu podróży gubiąc się w domysłach, jak też on wygląda. Do tej pory nikt jeszcze nie brał udziału w tak zaawansowanym eksperymencie, nikt też nigdy nie testował systemu. I co najlepsze: nikt nigdy nie widział pola walki.

Samochód zwolnił i mijając krzak bzu, wjechał w kutą, ozdobną w smocze łby bramę. Po około trzystu jardach zatrzymał się przed frontem dziwacznej rezydencji, będącą dziwnym mariażem neoklasycystycznego pałacu tonącego w bieli, doklejonego do przebudowanego, gotyckiego zamku typu nizinnego.

Kierowca dał sygnał klaksonem, boczne drzwi blaszaka rozsunęły się. Oprócz kierowcy, chudego, wąsatego typu w wielkich, ciemnych okularach i czarnym, skórzanym bezrękawniku, na dziedziniec wysypał się spory tłum młodych ludzi z tobołkami różnej maści.

- Witam państwa w moich skromnych progach – rzekł do tej pory niewidoczny człowiek w jasnym garniturze stojący u szczytu schodów, tuż obok doryckiej kolumny. – Nazywam się Chester Lloyd i z zawodu jestem lekarzem.

Rozumiem, że to wam niewiele mówi. Większość z was zna mnie, zapewne, raczej jako czarnoksiężnika o wdzięcznym imieniu Runemagick, prawda panie Barre?

Zapytany długowłosego chłopaka skłonił się nisko nieco zaskoczony.

- Lordzie Runemagick, ostatni nasz pojedynek był zaiste przepiękną walką. Liczę na rewanż!

Człowiek w garniturze roześmiał się serdecznie. Wśród młodych ludzi rozeszły się głosy uznania.

- Nie tym razem, waleczny rycerzu Entwine, choć przyznać muszę, że ostatnim razem już było z moim lordem krucho. Tym razem jednak zasiadę w łożu arbitrow i być może..., ale to niespodzianka – odparł uprzejmie, po czym zwrócił się do wszystkich. – Jak widzicie szanowni Państwo, podzielam wasze zamiłowanie do fantasy do tego stopnia, że postanowiłem zainwestować w rozwój gier systemowych i stworzyć własny system, bardzo wiarygodny i daleko wyprzedzający technologicznie wszystko, co do tej pory poznaliście. Na dalsze wyjaśnienia zapraszam do jadalni, gdzie czeka na nas zasłużone śniadanie. Guriona, naszego kierowcę, już Państwo poznali. Proszę o

pozostawienie swoich bagaży na schodach, Gurion rozlokuje je w pokojach. Proszę za mną.

To rzekłszy, odwrócił się i uchylił prawie trzymetrowej wysokości rzeźbione, dębowe drzwi. Jako pierwszy podążył za nim obcięty na zapalną okularnik o fizjonomii typowego kujona, za nim ruszyli wszyscy. Po chwili podjazd opustoszał. Oparty o maskę kierowca w czarnym, skórzanym bezrękawniku rzucił niedopałka na trawę i ruszył w kierunku pozostawionych na schodach plecaków. Pozbierał je i kolejno powrzucał z powrotem do samochodu.

* * *

Przepych wystroju wnętrza części pałacowej zrobił na przybyszach kolosalne wrażenie. Kryształowe lustra w złotych ramach, dziesiątki portretów różnej maści przodków, marmurowe posadzki, wreszcie wachlarzowe schody oraz ustawione po bokach połyskujące zbroje. Po przejściu przez rozsuwane drzwi, wszyscy znaleźli się w jadalni, pomieszczeniu długim na sześćdziesiąt stóp, wysokim na dwanaście. Do jednej czwartej wysokości ścian lśniła politurą prawie czarna boazeria, powyżej ciemno czerwone sukno przetykane złotą nicią wzorów przebijało się tuż obok zawilej sztukaterii ze złoceniami. W połowie sali jadalnej, a także w połowie olbrzymich rozmiarów stołu z dwunastoma nakryciami, znajdował się ogromnych rozmiarów kamienny kominek. Z trzech kryształowych żyrandoli sączyło się przyjemne, ciepłe światło.

- Siadajcie, moi drodzy! – Zachęcił gospodarz zajmując miejsce u szczytu stołu. – Czym chata bogata, z pewnością jesteście głodni po tak wyczerpującej podróży.

- Rzekłeś, panie! – Odparł piegowaty rudzielec i sięgnął po udko kurczaka.

- Szanowni Państwo, pozwolicie, że w międzyczasie dokonam stosownych prezentacji. Pana Barre już wszyscy poznali – ciągnął doktor odgarniając swoją blond grzywkę. – Innymi słowy, rycerz Entwine, pan wysp Lundy. Reprezentuje wśród nas Kanadę. Jak mi nie mam, wszyscy z Państwa mówią biegle po angielsku?

Ponieważ odpowiedzi były twierdzące, dla pewności gospodarz powtórzył pytanie po francusku i niemiecku.

- Dobrze. Pan Barre zajmie pokój numer sześć – doktor powrócił do ojczystej mowy, zwracając się do czarnowłosej dziewczyny siedzącej z prawej strony. – Milady, wybaczyć wam, winienem zacząć prezentację od dam.

Dziewczyna zaczerwieniła się na twarzy.

- Pani Juliette Roty przyjechała do nas z Francji wraz z panem Sylvainem Oudine. Oto przed Państwem nieposkromiony Gal Desporcoterix oraz jego pani, widząca przyszłość galo-rzymianka Flavia. Powitajmy ich brawami! Przy okazji: pokój numer cztery.

- Ave Romani! – Zakrzyknął wesoło grubas z ogromną porcją sałatki na talerzu, czemu towarzyszyła salwa śmiechu.

Człowiek w jasnym garniturze wskazał na niego, jako na następnego.

- Pan Bradley, Wielka Brytania – przedstawił. – Ciężko go będzie skojarzyć, ale wszyscy go znamy doskonale. Elf Samaril, prawie we własnej osobie!

Doskonały myśliwy, ale gdy trzeba, bezwzględny kupiec.

Tuż obok rudzielec wybuchnął śmiechem.

- Stary, a gdzie moje złoto za amuletki odczyniające uroki? – Dodał.

- Wrócimy do systemu, to ureguluję rachunki. Dług sprawa honorowa! – Zapewnił grubas.

- Pan Szczelokow, Federacja Rosyjska – doktor wskazał na rudzielca. – Czarownik i zaklinacz Komarnik. Zamieszka pan z panem Bradleyem w pokoju numer osiem.

Rudzielec wstał i uklonił się wszystkim.

- Eeee tam, drobne czary, import – eksport – rzucił od niechcenia.

- Panna Schwartz – krótkowłosa okularnica z wielkim nosem wstała oczekując komentarza. – Niemcy, znana nam wszystkim jako smoczyca Amok. Ostatnio wspierała armię orków przeciwko twierdzy Wasudewa. Nie radzę tej pani podskakiwać! Zamieszka pani w dwunastce z panną Madeyski.

Długonoga blondynka siedząca naprzeciwko Kanadyjczyka pomachała wszystkim.

- Susan Madeyski, amerykanka o wschodnio-europejskich korzeniach. Driada Miłka, zielarka.

- O raju! – Jęknął obcięty na zapalkę okularnik. – Przerzucam się na driady! Gospodarz wskazał na kujona i dodał:

- Zawiedzionym jest pan Giraud z Luksemburga. Drax, przywódca klanu wampirów.

- To, kiedy mogę przyjść wyssać twoją krew? – Rzucił Drax.

- Spróbuj! Zrobię ci z genitaliów jajecznicę na kielbasie! – Odparła driada z sykiem.

Kolejna salwa śmiechu.

- Drodzy Państwo, mam jeszcze zaszczyt przedstawić pana Alessandro Marconiego. Na co dzień krasnoluda walczącego dzielnie młotem, z kim popadnie. Reprezentant Włoch, krasnolud Burnel, drużyna Śródziemia. Zamieszka pan z szesnastce z panem Giraud, no chyba, że się pan boi wampirów...

- Dostanie młotem i będzie spał – skwitował Włoch.

- I wreszcie ostatni uczestnik naszej zabawy, pan O`Reilly. Czy słynny Irlandczyk, Smaily O`Reilly to pański krewny? – Zapytał doktor.

- Mam tylko krewnych pośród członków mojej Gildii – dodał nieogolony młodzieniec z błyskiem w oku. – Uważajcie na swoje mieszki ze złotem!

- Jak już się Państwo zorientowali, szef Gildii Złodziejskiej, sam Emerald Smart! Dołączy pan do pana Barre.

- Tak jest, lordzie! – Odparł złodziej i zajął się kanapką z tuńczykiem.

Doktor przyjął ostatnią wypowiedź swojego gościa z uśmiechem. Pochwycił kieliszek czerwonego wina.

- Nie ma z nami tylko pana Ramona Javiera da Silva – wyjaśnił po chwili. – Ramona nie mieli Państwo jeszcze okazji poznać, gdyż nie jest on graczem. Jest naszym informatykiem, twórcą i głównym filarem systemu. Drodzy goście: wasze zdrowie!

Wszyscy wstali i wznieśli toast.

- Wybacz lordzie Runemagick nadmiar śmiałości... - zapytał Rosjanin. – Jak mamy się do pana zwracać?

Człowiek w białym garniturze odstawił kieliszek na stół i ruszył w kierunku kominka.

- Jak panu wygodnie, panie Szczelokow – odparł uprzejmie. – Pacjenci mówią do mnie per „doktorze”, więc jak się pan poczuje chory, to polecam tę formę. Susan, chciał pani o coś zapytać?

Blondynka zatrzepotała rzęsami w zakłopotaniu.

- Czy mógłby pan zdradzić jakieś szczegóły na temat opracowanego systemu? Gospodarz stanął przy kominku i rozejrzał się po swoich gościach siedzących przy stole.

- Widzę, że wszyscy już skończyli, za wyjątkiem pana O`Reilly dzielnie walczącego z tuńczykiem, więc mam propozycję. Drodzy Państwo, drinki w dłoń, zapraszam na pierwszą sesję w naszym nowym systemie. Czy mają Państwo może ochotę na króciutką przerwę po śniadaniu?

- Nie ma mowy! – Odparł grubas Bradley.

- Idziemy! – Zawtórowała panna Schwartz.

W tej kwestii wszyscy byli zgodni. Dzień dopiero się rozpoczął, a przecież wszyscy przyjechali tu tylko i wyłącznie w jednym celu.

- W takim razie zapraszam do części zamkowej... - rzekł doktor i wskazał wielkie, mahoniowe drzwi.

Za drzwiami mroczny korytarz prowadził do sporych rozmiarów, wysokiej sali. Po kolumnadzie biegnącej w głównym ciągu oraz po kopule z latarnią w dwóch trzecich długości głównego ciągu można się było zorientować, że pomieszczenie zostało zaprojektowane jako kaplica. Tuż pod kopułą znajdowało się podwyższenie.

- Drodzy Państwo – echo słów lorda Runemagick było tylko dowodem na słuszność twierdzenia o pierwotnym przeznaczeniu tego nietypowego pomieszczenia. – Witajcie w nowej jakości RPG. Dzięki zastosowaniu najnowszych zdobyczy techniki, będziecie naprawdę uczestniczyć w wydarzeniach, które są przewidziane przez system. Będziecie odczuwać namiastkę prawdziwego bólu, będziecie staczać realistyczne pojedynki. A teraz trochę o samym systemie. Czy ktoś z Państwa zna Laser Quest?

Kujon Giraud wydał usta.

- Dobrze dla maniaków strzelaniny – odparł. – Betonowy labirynt, gracze dostają kombinezony ze wskaźnikami trafień oraz karabiny laserowe. Reszta to kosmiczna wersja jatki.

Lekarz niechętnie przyznał rację.

- Owszem, lecz najważniejsza jest idea – ciągnął. – Gracz porusza się w przestrzeni ograniczony tylko gabarytami obiektu. Nie ma rzucania kostką przy pojedynkach, nie ma kart, a wszystko zależy od gracza. W moim systemie jest podobnie. Nazwałem go po prostu „Zamek”, gdyż ogranicza go jedynie bryła zamku.

- Czyli bitwa rozgrywa się w zamku? – Zapytał Marconi.

- To nie jest bitwa – padło wyjaśnienie. – Zadaniem gracza jest pokonanie dziesięciu etapów, odnalezienie magicznych przedmiotów, walka, użycie czarów i na samym końcu pokonanie czarnoksiężnika, czyli mnie. Przez dziewięć etapów gry będę pełnił rolę mistrza gry i sprawował, dzięki systemowi kamer, nadzór nad uczciwym przebiegiem gry. Proszę pamiętać, że na zwycięzcę gry czeka nagroda pieniężna – dwadzieścia tysięcy funtów.

- Hmmm... - wtrąciła Juliet Roty. – Mamy to wszystko udawać, czy jak?

- Ramon?! – Zakrzyknął doktor.

Po chwili do kaplicy wszedł niepozorny trzydziestolatek taszcząc wielkie pudło.

- Oto pan da Silva, o którym już Państwu opowiadałem – prezentacja była nader krótka, tym bardziej, że człowiek z pudłem nie powiedział nic. – Każdy otrzyma stosowne wyposażenie, na które składa się: symulator bólu. Panie Marconi, proszę nieznacznie podwinąć T-shirt.

Ramon wyciągnął z pudła pas, na którym była zawieszona niewielka, czarna skrzynka. Zręcznym ruchem założył Włochowi pas, wycentrował czarną skrzyneczkę dokładnie z tyłu, następnie podpiął do przyrządu dwa cienkie kabelki zakończone niewielkimi przyssawkami. Po chwili i te znalazły swoje miejsce na linii kręgosłupa, mniej więcej na wysokości nerek.

- W momencie zranienia wirtualną bronią odczujecie pewną namiastkę bólu – wyjaśnił człowiek w białym garniturze.

Tymczasem Ramon wyjął niewielką walizeczkę, uchylił wieko i wyciągnął podstawkę ze szklami kontaktowymi.

- Proszę je założyć. To wynalazek Ramona. Specjalne szkła sprzężone z systemem, które umożliwią wam zobaczenie tego, czego nie ma. Przyznaję, że niektóre przedmioty w zamku to tylko animacje, reszta to atrapy, ale dzięki potężnemu komputerowi sprzężonemu z tą miniaturową wersją gogli trzy-de oraz symulatorowi bólu wpływającemu na synapsy rdzenia kręgowego, wrażenia z przygody są absolutnie pełne i jak najbardziej wiarygodne.

- Niezły bajer! – Pochwalił Bradley.

- To nie bajer! – Zaperzył się Runemagick. – To technologia! To przyszłość RPG!

- Jak będziemy jeszcze wspomagani przez system?

- Panna Schwartz zadała słuszne pytanie – zapytany wskazał na ścianę. – Panie Marconi, co pan widzi na ścianie?

Zaskoczony Włoch patrzył we wskazanym kierunku.

- Czerwony napis „WITAJ W GRZE”. Niesamowite! Wy to też widzicie?

Nikt nie potwierdził.

- Co jakiś czas system będzie wysyłał wskazówki. Należy się uważnie rozglądać i ich poszukiwać. Można też zadać pytanie skierowane do Mistrza Gry, ale tylko jedno podczas rundy. Wtedy wskazówka ukaże się w kolorze niebieskim. Nie muszę chyba dodawać, że cały zamek jest nafaszerowany czujnikami i wysokiej klasy elektroniką?

- Mam nadzieję, że nie ma ukrytych kamer pod damskim natryskiem? –

Zapytała Susan Madeyski.

- Szanujemy prywatność graczy. Zresztą mieszkać będziemy w części pałacowej

– wyjaśnił doktor. – Czy są jeszcze jakieś pytania? Proszę pobierać sprzęt,

Ramon pomoże Państwu założyć czarne skrzynki.

Kiedy tylko ostatnia przyssawka znalazła się na swoim miejscu, da Silva ulotnił się dyskretnie. Tymczasem gospodarz stanął przy filarze, na którym był zamontowany niewielki panel z kilkoma klawiszami.

- Drodzy Państwo! – Zawołał. – Proszę o uwagę. Wszystkich proszę o wejście na podwyższenie... O tak! Teraz chwycie się za ręce... Uwaga! Czas start!

Pragnę tylko zauważyć, że w każdym etapie obowiązuje limit czasowy. Życzę powodzenia.

Wcisnął guzik. Nagle tuż spod kopuły opadła ciężka, połyskująca, monstrualnych rozmiarów klatka. Na jej poszczególnych prętach były zawieszone różne rodzaje broni. Obserwujący całą scenę doktor roześmiał się i wyszedł z kaplicy. Na ścianie pojawił się czerwony napis:

WITAJCIE W ZAMKU, NIESZCZĘŚNICY.

WESZLIŚCIE TU, ABY WYKRAŚĆ TAJEMNICĘ CZARNOKSIĘŻNIKA.

NIESTETY, POJMAŁ WAS I ZAMKNAŁ W ŻŁOTEJ KLATCE.

CZAS DO KOŃCA RUNDY: 4h58`

Zapanowała konsternacja.

- Co teraz? – Zapytała rzymianka Flavia.

Jej partner, dzielny, galijski wojownik sięgnął po zawieszony na poprzeczce miecz.

- Poszukamy wyjścia z tej nie komfortowej sytuacji – rzekł i wsadził miecz pod spodnią część klatki, usiłując ją podważyć.

* * *

Siedzący przed monitorem Ramon zerkał na obraz. Chwilowo nic się nie działo.

- Niezła ta mała – rzucił krótko do siedzącego na krawędzi biurka Lloyda.

- Która? – Doktor odpalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

- Ta Modeski... czy jak jej tam.

- Madeyski? Niczego sobie – przyznał wypuszczając kłęb dymu. – Czy dzwonił w międzyczasie doktor Krause?

Ramon przecząco pokiwał głową.

- Jeszcze nie złożył zamówienia. Zrobi to pewnie lada moment – rzucił i zaczął się bujać na krześle.

- Powiem Gurionowi, niech szykuje stoły i wysterylizuje narzędzia. A ty zadbaj, by nasi milusińscy mieli odrobinę atrakcji.

- Masz to jak w banku! – Rzekł człowiek na krześle i chwycił za klawiaturę komputera.

* * *

Miecz Gala pękł z brzękiem. Klatka pozostała niewzruszona.

Na ścianie obok pojawiła się kolejna informacja od systemu:

JEDEN Z WAS JEST SZPIEGIEM CZARNOKSIĘŻNIKA

- Widzieliście? – Zapytał dzielny rycerz Entwine sięgając po pruski rapier.

- Widzieliśmy – odparł krasnolud Burnel gładząc ostrze topora.

Amok stanęła w rozkroku opierając się na włócznie o szerokim ostrzu.

- Prędzej, czy później, zdrajca popełni błąd, a wtedy go po prostu zjem – warknęła.

- Co robimy? – Zapytał otyły elf Samaril.

Emerald Smart pochwycił maczetę i ze świstem przeciął powietrze.

- Obejrzyjcie broń. Czy żadną nie można by otworzyć tej klatki?

- Wybacz stary, miecz już złamałem – odparł Gal po francusku. – Przepraszam, wyrwało mi się odruchowo.

- Nic nie szkodzi, pochodzę z Quebecu – wyjaśnił Barre. – Czego ty tam szukasz?

Czarownik Komarnik skakał po prętach klatki przyglądając się zawieszonym na nich przedmiotom.

- Przyglądam się artefaktom – wyjaśnił. – Niektóre mogą się okazać przedmiotami magicznymi. Nie zapominajcie, że uwięził nas czarnoksiężnik.

- I zobaczyłeś coś magicznego?

- Na razie sama broń... - przyznał Szczelokow i przeskoczył do kolejnej poprzeczki z dowiązanym artefaktem. – Mam coś!

Po chwili podał zaskoczonemu Kanadyjczykowi małą buteleczkę z białym proszkiem.

- Co z tym robimy? – Zapytała driada uzbrojona w dwa sztylety.

Elf podrapał się po trzecim podbródku.

- Chwilowo nie zdobyliśmy jeszcze zaklęć – zadumał się na chwilę. - Może posypać tym zamek w drzwiczkach klatki?

- Ciekawe... Może to proszek wzmagający cechy, na przykład siłę?

Drax wziął buteleczkę i wysypał sobie na dłoń sporą porcję proszku.

- Raz kosie śmierć – stwierdził. – Najwyżej rozniosę w pył pół zamku.

To mówiąc polizał dłoń. Krzywiąc się zlizął wszystko.

- I co? – Spytał Emerald Smart.

- Świństwo jak cholera! – Odpowiedział wampir.

Amok wskazała na drzwiczki.

- Spróbuj je wyłamać!

- Się robi, mein fuhrer! – Odparł krótko obcięty młodzik i złapał za pręty drzwiczek. Te ani drgnęły.

Komarnik oparł się o kratę obok.

- Chyba miałaś rację z tym zaklęciem – przyznał. - Tylko, że dookoła została sama broń.

- Pytanie do Mistrza Gry – zakrzyknął krasnolud. – Poproszę o wskazówkę, jak stąd wyjść.

Na ścianie tuż obok ukazał się niebieski napis:

ZDRAJCA WIE, JAK.

O`Reilly popatrzył na towarzyszy niedoli.

- Czyli musimy znaleźć zdrajcę. Rycerzu Entwine, jakieś sugestie?

- Tak – zaczął Kanadyjczyk. – Myślę, że...

Nie dokończył. Stojący tuż obok Giraud, czyli wampir Drax, osunął się na ziemię w konwulsjach. Z ust potoczyła się piana. Susan natychmiast dopadła do niego usiłując złapać go za nadgarstki.

- Włóżcie mu szybko coś w zęby, to atak padaczki! – Krzyknęła, lecz było już za późno. Drax znieruchomiał, jego wzrok stał się szklisty. Po chwili podłoga pod nieruchomym wampirem otworzyła się i ciało nieszczęśnika zniknęło.

Kłapa automatycznie powróciła na swoje miejsce.

- Cholera! – Zakrzyknął Rosjanin. – Ale ta akcja była realistyczna!

Czerwony napis obwieścił:

DRAX WYELIMINOWANY Z GRY.

CZAS DO KOŃCA RUNDY: 4h37`

Juliette pochwyciła upuszczoną buteleczkę po białym proszku. Powąchała, następnie pośliniła końcówkę palca, zanurzyła go w resztkach proszku i oblizwała.

- Gorzkie – skonstatowała. – Heroina. Ten bałwan zeżarł końską dawkę heroiny. Cholerny ćpun!

- Przypomnij sobie, o co gramy – zauważył Marconi.
- Sam się naćpał, to i odpadł – skwitowała driada. – Facet nie przypadł mi do gustu. Chwila, czytacie!

SZPIEG CZARNOKSIĘŻNIKA DOPADŁ JEDNEGO Z WAS.
KTO BĘDZIE NASTĘPNY?

* * *

- Przynieś szybko pojemniki z lodem – rzucił doktor i wyszedł przez boczne drzwi ze stali nierdzewnej.
- Ramon wzruszył ramionami. Siedzący obok mężczyzna w skórzanej kamizelce wstał i zagasił papierosa.
- Mówisz, że pociska coraz większe kity?
- Tym razem odpuścił sobie Sylvestra Stallone, ale z tą nagrodą to chyba przesadził.
- Gurion skierował się do drugiego wyjścia.
- Mnie martwi, co innego – przyznał na odchodnym. – Gdy ktoś się będzie odrobinę znał na medycynie i rozpozna aparat Holtera.

* * *

ZDRAJCA JEST WŚRÓD WAS.

- Czerwony napis zamigotał i zgasł. O`Reilly popatrzył po wszystkich zebranych.
- Chwileczkę – zaczął. – Mam trzech kandydatów na agenta sił zła.
- Słuchamy cię, Emerald Smart! – Odparła cierpliwie Amok dzierżąc ciężkiego morgensterna.
- Czarnoksiężnik ostatnio pojedynekował się z rycerzem Entwine.
- Oudine stanął za Kanadyjczykiem.
- Rzuciłem mu wyzwanie i musiałem uciekać z pola walki z wieloma ranami – wyjaśnił oskarżony.
- Mówi prawdę – rzekła driada o długich blond włosach. – Walka zakończyła się odwrotem szlachetnego rycerza. Nie było poddania, ani układu. Śledziłam tą walkę. Co dalej, złodzieju?
- Komarnik.
- Uzasadnienie? – Wtrąciła Flavia.
- Irlandczyk usiadł opierając się plecami o kraty.
- To właśnie nasz drogi czarownik znalazł tajemniczy proszek zombie.
- Dobrze, jednak zbyt oczywiste – wtrącił Włoch. – Jest jednak ktoś, kto gdyby mógł, sprzedałby własną matkę. Myślimy o tym samym?
- I jak tam, bezwzględny sprzedawczyku Samaril? – Rzucił wesoło Smart

Elf próbował pochwycić wiszącą nad nim kuszę, lecz tusza nie pozwoliła mu na szybkie działanie. Barre pochwycił go od tyłu.

- Przysięgam, to nie ja! – Zakrzyknął Bradley. – To ten Rusek!

- Dobra, dobra! – Amok zważyła w ręku morderczą broń.

- Przysięgam na moją matkę, choć jej nigdy nie poznałem!

- Jak to?

- Bo jestem z domu dziecka! – Wykrzyknął Elf płaczliwie.

- Łżesz! – Wrzasnęła Niemka i jednym ciosem wbiła grubasowi kolczastą kulę prosto w głowę.

Dzielny rycerz Entwine odskoczył przerażony nagłym, wściekłym atakiem smoczycy.

- Raju! – Krzyknął oszołomiony. – Teraz wiem, czemu zwą cię Amok!

Susan nachyliła się nad ciałem Samarila. Zbadła puls i pokręciła przecząco głową.

- Czemu to zrobiłaś?

- Wydał się tym tekstem z matką – wyjaśniła morderczynie odwieszając zakrwawioną broń na kratę. – To ja nie poznałam swoich rodziców.

Wychowywałam się w domu dziecka w Greifswaldzie.

Spoczywające na podłodze ciało grubasa zniknęło. System uruchomił kolejną zapadnię w podłozde. Marconi odwrócił się zaskoczony.

- Chwileczkę! – Rzucił krótko. – Ja też byłem w bidulu!

- My też! – Odparła Rzymianka. – Znamy się jeszcze z domu dziecka.

Komarnik?

- Dietskij fond imieni Władimira Ilicza Lenina iz Maskwy – dodał Rosjanin, ale i tak wszyscy zrozumieli.

Zapadła niezręczna cisza.

SAMARIL WYELIMINOWANY Z GRY.

CZAS DO KOŃCA RUNDY: 4h23`

- Trzeba to wyjaśnić – mruknął waleczny Gal.

- Przestaje mi się to podobać! – Warknęła nerwowo driada. – Pytanie do Mistrza Gry:, dlaczego wszyscy uczestnicy są sierotami?

RÓWNE SZANSE DLA WSZYSTKICH – TEORIA JUNGA.

Po chwili niebieski napis został zastąpiony czerwonym.

£20,000.00 CZEKA.

- Kupa szmalu – jęknął Włoch. – Pytanie do Mistrza Gry:, jaką misję ma do wykonania agent czarnoksiężnika?

Po chwili niebieski napis oznajmił:

ZATRZYMAĆ WAS W KLATCE.

Po chwili na ścianie ukazał szereg linii tworzący skomplikowany, geometryczny wzór. Po środku labiryntu, ulokowany w największej bryle geometrycznej widniał symbol ptasiej klatki. Wewnątrz majaczyła ikona przedstawiająca kluczyk. Czerwony napis pod spodem oznajmił:

ZDRAJCA UKRYŁ KLUCZYK.

- Mam propozycję – rzucił krasnolud Burnel. – Panowie, ściągać buty i do przeszukania wystąp.

- No, co ty? – Oburzył się czarownik. - Przecież nie mam tego cholernego kluczyka!

Rycerz Entwine i dzielny Gal zaszli go od tyłu.

- Masz coś naprzeciw? – Zapytał Francuz. – A może to ty podrzuciłeś ten proszek dla Girauda?

Rosjanin niechętnie się obrócił i oparł ręce o poprzeczki kraty.

- Dobra, jak chcecie – odparł bez entuzjazmu.

- Juliette, zajmij się paniami – poprosił Barre przystępując do przeszukania czarownika.

- Nikt mnie nie będzie obmacywał! – Wrzasnęła Niemka wyrywając się z rąk Francuzce.

- Chodź tu, do cholery!

Stojący przy drzwiczkach zaskoczeni mężczyźni przypatrywali się szarpaninie dziewczyn. Flavia uderzyła otwartą dłońią rywalkę w twarz, ta jednak złapała ją za włosy i mocno szarpnęła. Amok powaliła przeciwniczkę na kolana i już zamierzała się, by kopnąć ją kolanem w twarz, gdy tuż za jej plecami pojawiła się długowłosa piękność dzierżąca sztylet. Jednym, sprawnym cięciem poderżnęła gardło Amok, która runęła z łoskotem na podogę.

- Szybko, przeszukajcie ją, zanim system nie usunie ciała z klatki! – Rzuciła Susan wycierając sztylet o bluzkę zamordowanej.

Rudzielec i Kanadyjczyk natychmiast rzucili się do ciała, które po chwili leżało na podłodze nagie.

- Poza zafarbowanym futerkiem – nic! – Westchnął Entwine.

- Ta uwaga może kosztować cię podbite oko – zauważył Burnel. – Oczywiście, po grze. Ona ma fatalny charakter także prywatnie...

Podłoga znów ujawniła zapadnię, ciało Niemki zapadło się pod platformę z klatką.

- Susan, dlaczego?

Dziewczyna przyczesła włosy.

- Zbyt ochoczo pozbyła się naszego grubego przyjaciela i nie dała się przeszkazać.

Nowy komunikat oznajmił:

AMOK WYELIMINOWANA Z GRY.

CZAS DO KOŃCA RUNDY: 3h58`

- Jeżeli już o eliminacji mowa... - Kanadyjczyk uśmiechnął się sięgając po miecz. – Jeżeli zabiję was wszystkich, bez problemu odnajdę kluczyk i wyjdę z tej złotej klatki.

- Twoje niedoczekanie... - syknęła driada i błyskawicznie odwróciła się do zaskoczonego rycerza wbijając mu w pierś drugi ze swoich sztyletów. Długowłosy chłopak chwycił za wystającą rękojeść, wypuścił miecz, nogi się pod nim ugięły.

- O kur...! Ten ból jest taki prawdziwy... - jęknął i osunął się na pręty klatki. W tej samej chwili świst samurajskiego miecza zaskoczył wszystkich, a najbardziej driadę. W tej jednej sekundzie odcięta głowa Susan Madeyski potoczyła się po podłodze.

- Głupia siksa! – Mruknął Irlandczyk wbijając miecz w deski podłogi. – Ma więcej w biuście, niż wynosi jej IQ.

- Doskonale cię rozumiem, stary – przyznał Marconi. – Ale to nie powód, żeby ją eliminować z gry.

Po chwili oba ciała zniknęły i tylko projekcja zasychającej krwi wskazywała miejsca, gdzie polegli poszczególni uczestnicy etapu.

ENTWINE WYELIMINOWANY Z GRY.

DRIADA WYELIMINOWANA Z GRY.

CZAS DO KOŃCA RUNDY: 3h47`

* * *

Ramon siedział na skórzanym, obrotowym taborecie wpatrując się w wielkie, niebieskie oczy ukryte pod burzą blond włosów.

- Czy mówiłem ci, że masz piękne oczy? – Zapytał niemalże lubieżnie.

Po chwili zrobił to, co zamierzał i zamknął niewielkie pudełeczko.

- Zalałeś roztworem soli fizjologicznej? – Zapytał doktor wchodząc do rzęsiście oświetlonej Sali.

- Oto one – czarne pudełeczko zmieniło właściciela.

Lloyd schował tajemniczy przedmiot do kieszeni i skierował się z powrotem do drzwi.

- Tylko jej nie obmacuj! – Przestrzegł. – To nieetyczne!

* * *

- Pytanie do Mistrza Gry – Szczelokow starał się mówić głośno. – Gdzie jest kluczyk?

Czerwony napis długo nie pojawiał się na ścianie. W końcu obwieścił:

JEDEN Z WAS GO UKRYŁ.

Flavia usiadła zmęczona ciągłymi przepychankami.

- Sprawdziliśmy wszystkie przedmioty. Przeszukaliśmy się nawzajem. I nic. Jak to możliwe?

Jej chłopak przyglądał się drzwiczkom oparty o szczeliny klatki.

- Musieliśmy coś przeoczyć – mruknął. – Szczelokow, przestań się wygłupiać! Tymczasem Rosjanin dopadł do O`Reillego z wielkim nożem i przygniatając chłopaka do kraty, przystawił mu ostrze do gardła.

- Od początku mi się nie podobałeś! – Wyznał przez zaciśnięte zęby. – Taki uczciwy i szlachetny z ciebie złodziej! A jaki uczynny! No, gadaj! Gdzie ukryłeś kluczyk?

- Odwal się ode mnie! – Odparł oburzony Irlandczyk. – To ty jesteś ruski, to tobie nie wolno ufać!

- Nu, pogodi! – Krzyknął po rosyjsku, lecz były to jego ostatnie słowa w grze. Potężny topór trzymany przez krasnoluda ugrzązł mu między łopatkami. W chwilę potem bezwładnie osunął się na podłogę. I tym razem zapadnia zadziałała prawidłowo.

Emerald Smart otarł pot z czoła.

- Dzięki! – Westchnął, lecz w jego oczach zagościło przerażenie. Wielki topór Marconiego ugodził go w sam środek głowy.

* * *

W jasno oświetlony korytarz wtoczył się stalowy, długi wózek.

- Dzwonił doktor Krause. Dwanaście tysięcy. Jest zamówienie – oznajmił Gurion pchając umieszczony na wózku ciężki przedmiot.

Doktor popatrzył na zawartość.

- Gdzie Ramon? – Zapytał.

- Wysła kolejny komunikat z systemu – wyjaśnił człowiek w skórzanej kamizelce i wjechał wózkiem do Sali pełnej dziwnych przyrządów.

- Kończy już grę?

- Teraz to już kwestia minut. Szkoda mi tej laleczki... - wskazał ruchem głowy blondynkę tuż za grubą szybą.

- Ramonowi też się podoba – skonstatował Lloyd. – No, panie Szczelokow. Zapraszamy na wątróbkę!

* * *

KOMARNIK WYELIMINOWANY Z GRY.
EMERALD SMART WYELIMINOWANY Z GRY.

CZAS DO KOŃCA RUNDY: 3h31`

Desporcoterix pochwycił wielki miecz godzien samego Arnolda Schwarzeneggera. Stał naprzeciw Włocha zasłaniając jednocześnie swoją narzeczoną.

- Pytanie do Mistrza Gry! – Wrzasnęła Flavia. – Gdzie ukryty jest klucz? Wzajemne taksowanie, ciągnący się w oczekiwaniu na odpowiedź czas. Włoch ruszył do ataku. Mordercza broń wzniosła się do ciosu i opadła ze świstem. Cios jednak został sparowany i odepchnięty w bok. Dziewczyna za plecami narzeczonego krzyknęła przerażona. Gal naparł na przeciwnika barkiem, lecz otrzymał potężne kopnięcie w bok. Zatoczył się do tyłu, lecz zanim Marconi powtórzył cios, pchnął mieczem niemalże na ślepo w głębokim wypadzie. Zaskoczony Włoch zastygł z toporem ponad głową. Z jego trzewi wystawało pół miecza. Drugie pół ociekające krwią wystawało poza klatkę pomiędzy jej prętami. Krasnolud runął do przodu zginając się wpół. Po chwili jego ciała już nie było.

Niebieski napis widniał na ścianie od dłuższej chwili.

JEDNO Z WAS POŁKNEŁO KLUCZYK.

Po chwili zastąpiła go czerwona, dobrze już znana formułka:

BURNEL WYELIMINOWANY Z GRY.

CZAS DO KOŃCA RUNDY: 3h14`

Francuz powoli sięgnął po maczetę.

- Kochanie, pozwól tu na chwilkę...

Dziewczyna oparła się o kraty i zacisnęła na nich ręce.

ZWYCIĘZCA MOŻE BYĆ TYLKO JEDEN!
£20,000.00 CZEKA!

- Bądź dobrą dziewczynką... - chłopak z maczetą w ręku zaczął się powoli zbliżać do swojej narzeczonej.

- Sylvain, nie wygłupiaj się! Mogę wywołać wymioty! – Krzyczała histerycznie dziewczyna.

- Forsa i tak jest już prawie nasza! – Syknął Gal. – Daj się tylko zabić!
- Nie! – Zapłakała dziewczyna, lecz ostrze maczety zatoczyło już łuk i wbiło się jej w brzuch. Trysnęła krew, ciało kobiety wygięło się w przód. Oczy wyszły na wierzch, złapany łapczywie ostatni oddech ugrzązł w płucach. Wokół rozlewała się krew zmieszana z białą, mleczną mazią wyciekającą z rozciętych trzewi. Mężczyzna złapał swoją wybrankę za gardło, aby przytrzymać ciało i dalej rozcinał brzuch nieszczęsnej Flavii. Wyciągnął ostrze, odrzucił bezużyteczną broń i wbił rękę w rozcięte jelita. Po kilku minutach grzebania popatrzył na twarz narzeczonej. Dziewczyna nie żyła. Puścił martwe ciało, które zaległo obok wyprutych wnętrzności. Kluczyka nigdzie nie było. Popatrzył na ścianę, na której pojawił się niebieski napis. Odpowiedź, na jeszcze niezadane pytanie.

CO JADŁEŚ DZIŚ NA ŚNIADANIE?
SMAKOWAŁO CI CIASTO DROŻDŻOWE?

Cholera! To on zeżarł ten cholerny kluczyk nawet o tym nie wiedząc!
Ostatnie ciało zniknęło z klatki. Czerwony napis głosił:

FLAVIA WYELIMINOWANA Z GRY.

CZAS DO KOŃCA RUNDY: 3h05`

Mając już tylko jedną możliwość, waleczny Gal pochwycił jeden z leżących sztyletów driady, uklęknął i wbił sobie w brzuch. Przez chwilę siedział zgięty, zaskoczony tym, jak bardzo boli. Po chwili powtórzył sobie w myślach, że wszystkie doznania fizyczne zawdzięcza elektronicznemu cacku przypiętemu do paska z tyłu. Prawdziwy ból na pewno jest nie do zniesienia! Powoli, z niemałym wysiłkiem, przeciągnął ostrzem w bok. Krew chlusnęła obficie z rozciętych trzewi. Wyszarpnął nóż i odrzucił. Poczuł, że robi mu się słabo, a wzrok powoli odmawia posłuszeństwa. Delikatnie włożył dłoń w rozciętą skórę i począł nerwowo przebierać palcami. Po chwili zgiął się jeszcze bardziej w pół i osunął na podłogę.

- Znalazłem skurczybyka... - wyszeptał, lecz były to jego ostatnie słowa. Skonał.

* * *

W rześcisie oświetlonej sali stało dziewięć stołów ze stali nierdzewnej, zaopatrzonych w kółka. Wahadłowe, w połowie przeszklone drzwi rozwarły się i do pomieszczenia wtoczył się ostatni, dziesiąty stół.

- Panie Oudine, nie wstyd panu? – Zapytał człowiek w białym kitlu pochylający się nad nagim ciałem młodej dziewczyny. – Tak poharatać narzeczoną! Kto to widział! Wątroba jest nie do użytku, nerki pocięte, jak na gulasz prowansalski!

- Obawiam się, że nasz Romeo też zrobił sobie niezłe kuku – mruknął Ramon ustawiając obok ostatni stół ze zwłokami Francuza, który zastygł z dłonią schowaną w swoim własnym, rozciętym brzuchu.

Do sali wtoczył się Gurion, a właściwie wszedł tyłem taszcząc w rękach cztery pojemniki termostatyczne do transportu narządów.

- Za ile poszły gałki oczne tej amerykanki? – Wypalił od drzwi.

- Sześć tysięcy za parę – odparł doktor spod pleksiglasowej maski sięgając po miniaturową piłę tarczową do cięcia mostka. – Mogło być lepiej, ale sprzedały się na pniu. Kasa już jest przelana. Doktor Krause zażyczył sobie dwie wątroby i sześć nerek, a Wang Mu Tien bierze wszystkie gałki oczne w kolorze brązowym. Wyłączył ktoś nagrywanie?

Gurion wyciągnął papierosa ze swojej skórzanej kamizelki i odpalił.

- Wyłączyłem zaraz po ostatnim harakiri – oznajmił.

- Cholera, mówiłem ci, żeby tu nie palić!

- Chester, zlituj się! - Palacz spieszył się najwyraźniej. - Staram się tylko zabić ten smród.

- Pociesz się, że czasem odór żyjących bywa bardziej nieznośny – wtrącił da Silva opuszczając wypatroszone zwłoki Rosjanina. – Ten już gotów. Spadają zamówienia na serca.

Doktor wzniósł oczy do nieba.

- Logiczne! – Przyznał. – Łatwiej o nielegalną operację wszczepienia nerki, niż pompki, to proste. Najwyżej zrobisz sobie gulasz, he, he!

- Stary kawał! Ile jest zamówień na filmy? – Zapytał człowiek w skórzanej kamizelce, który uchylił drzwi na korytarz trzymał rękę z papierosem za drzwiami.

- Około czterystu... po sześćset pięćdziesiąt od filmu – przyznał Ramon. – Pewnie spłyną jeszcze jakieś zamówienia.

- Ja nie rozumiem, po cholere ludzie oglądają taką bezsensowną jatkę?

Lloyd wyciągnął delikatnie nerkę, przeciął ostatnią żyłkę skalpelem i umieścił drogocenny narząd w podanym pojemniku termostatycznym.

- Filmy „ostatniego tchnienia” zawsze cieszyły się wielkim powodzeniem – wyjaśnił uchyłając przyłbicę. – Ludzie to takie głupie bydlęta, zawsze pazerne krwi, a jeżeli towarzyszy temu cierpienie i śmierć, tym lepiej. Można wynająć uliczną prostytutkę w obcym mieście, spętać jak baleron i pociąć przed kamerą żyłką na plasterki, a na końcu podpalić, tylko, że ten schemat jest już oklepany. A tu mamy aż dziesięcioro chętnych do męczeństwa, krew się leje, a na dodatek zabijają się sami. Nikt im nie musi w tym pomagać...

Gurion podrapał się w głowę.

- Nie rozumiem jednak tych ludzi – przyznał.

- Bo ty wolisz obejrzeć dobry mecz – rzucił da Silva taszcząc dwa pełne pojemniki.

- Ach, dobry mecz, to jest naprawdę sztuka!

Doktor ciągnął lateksowe rękawiczki i wrzucił je do kosza.

- Trzeba pozbyć się ciał – zmienił temat. – Ramon, zmyj podłogę w klatce, jutro rano mamy następną grupę.

Zagadnięty zazgrzytał zębami.

- Praca, praca, wiecznie praca! – Warknął. – Tylko nie opowiadaj już im o Stallone. To bardzo cienki kit. Piwo?

Chester roześmiał się serdecznie. Wziął puszkę, otworzył i podniósł do góry.

- Dobra! – Zgodził się. – Musimy tylko wieczorkiem pobuszować po forach i pograć trochę w te ichnie głupoty. Panowie, niech żyją elfy, smoki, zakute łby i inne paskudztwa stojące u podstaw nowoczesnej, podziemnej transplantologii!

*I to by było na tyle, twoja podróż po
„szeroko pojętej fantastyce” dobiegła końca.*

*Jeżeli nie pogryzły Cię smocze mendo, nie wypatroszył
czarnoksiężnik Runemagick i nie przeszkadzał
Ci konar w okrężnicy, to znaczy,
że wytrzymasz kolejną dawkę mojej
radosnej twórczości.*

Ale o tym porozmawiamy innym razem.

Dziękuję, że zechciałeś mi towarzyszyć.

SPIS TREŚCI:

Dniówka w parku.....	7
Moja prywatna Baba Jaga.....	14
Władca Pierścienic: Drużyna pierścienic.....	21
Jak sprawdzałem teorię względności.....	26
Opowieść aseptyczna.....	31
Talizman.....	51
Jak poszukiwałem najbardziej niezwykłego stworzenia w Chorasanie: Fauna.....	59
Jak poszukiwałem najbardziej niezwykłego stworzenia w Chorasanie: Flora.....	65
Kombinat Fabryka Snów.....	70
Sesja.....	77
Złoty klucz.....	82

Tomasz Marcin Dudziński
Czarami i ...

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński
All rights reserved

Redaktor:
Piotr Chruśliński

Korekta:
Małgorzata Bartosik

Copyright © by Serwis Literacki
www.knowacz.pl

Wydanie I
ISBN 978-83-925506-9-3

Świdnik
2007

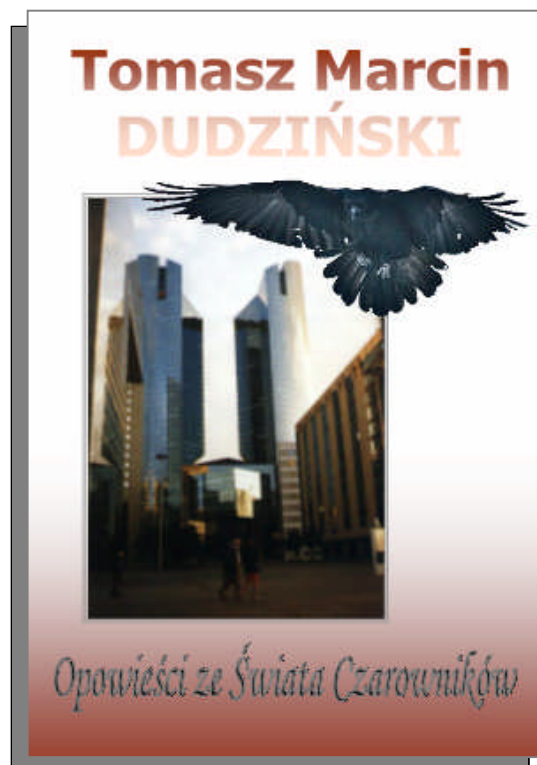
Projekt okładki:
Tomasz Marcin Dudziński

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński
All rights reserved



ISBN 978-83-925506-9-3

dotychczas ukazały się:





Tomasz Marcin DUDZIŃSKI

Osobnik znany także jako Nyhariel; urodził się w roku 1971 w Gliwicach, gdzie mieszka do dziś. Jest absolwentem Politechniki Śląskiej i Akademii Ekonomicznej, co nie miało większego wpływu na jego przygodę z fantastyką. Pierwsze opowiadanie autorstwa Nyhariela powstało w 1986 roku i powstają one do dziś, na przekór wszystkim tym, którzy twierdzą, że są one nic nie warte.

„Czarami i ...” to zbiór mniej, lub bardziej udanych opowiadań z pogranicza fantastyki, fantasy i czarnego humoru, co w efekcie daje dość infantylne bajki dla dorosłych okraszone odrobiną pikanterii. Jest to trzecia pełnometrażowa publikacja autora.

W przygotowaniu kolejny tomik opowiadań

„Pogranicze światów”

także trzeci tom sagi o czarownikach

**„Opowieści ze świata czarowników:
rozwiązanie gastronomiczne”**

oraz tomik poezji

„24 godziny bez snu”

Drogi Czytelniku: wszelkie uwagi proszę kierować na adres: nyhariel@interia.pl
Jeżeli wydrukowałeś sobie niniejszy zbiorek, napisz koniecznie!

notka o autorze